

James Herriot

Kocie opowieści

Ilustrował Lesley Holmes Przełożyła Anna Wiśniewska-Walczyk

Spis treści

Wstęp 7

1. Alfred - kot ze sklepu ze słodyczami 14
2. Oskar - kot towarzyski 31
3. Borys i koci dom pani Bond 55
4. Olly i Ginny - kociaki, które nas wybrały 69
5. Emilia i dżentelmen, który przemierzył cały świat 87
6. Olly i Ginny - osiedliny 105
7. Mojżesz - znaleziony w sitowiu 113
8. Frisk - kot przywracany do życia 122
9. Olly i Ginny - największy triumf 134
10. Buster - bożonarodzeniowy kociak 147

Inne książki Jamesa Herriota wydane w Polsce:

Wszystkie stworzenia duże i małe (1980)

Weterynarze mogą latać (1998)

Weterynarz w zaprzęgu (1997)

To nie powinno się zdarzyć (1997)

Wstęp

Koty zawsze odgrywały w moim życiu ogromną rolę. Najpierw, kiedy mieszkałem jeszcze w Glasgow, jako dzieciak, potem, kiedy prowadziłem praktykę weterynaryjną, i teraz, gdy jestem już na emeryturze, wciąż są przy mnie, rozjaśniając moje dni.

Właśnie przede wszystkim ze względu na nie wybrałem zawód weterynarza. W pierwszych latach szkoły mój zwierzęcy świat zdominowany był przez wspaniałego irlandzkiego setera o imieniu Don, z którym wędrowałem po szkockich wzgórzach przez blisko czternaście lat. Jednak gdy wracałem z owych eskapad, zawsze witały mnie koty, ocierały się o moje nogi, mruczały i przytulały pyszczki do dłoni.

Nigdy się nie zdarzyło, by w naszym domostwie nie mieszkało kilkanaście kotów, a wszystkie odznaczały się właściwym sobie czarem. Ich wrodzony wdzięk i delikatna budowa ciała, ich głębokie, czułe przywiązanie sprawiły, że były drogie memu sercu. Marzyłem o dniu, w którym wszystkiego się o nich nauczę na akademickim wydziale weterynarii. Kocia ochota do zabawy również dostarczała nam nieustannej rozrywki. Pamiętam jedną kocicę, na

7

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

imię miała Topsy, która prowokowała najrozmaitsze igraszki ni -ustannie obtańcowywała Dona i podkradała się cichaczem do niego, z uszkami złośliwie postawionymi na sztorc, aż wreszcie psisko nie potrafiło już tego znieść i skakało na nią, co nieuchronnie kończyło się długotrwałymi zapasami.

Co jakiś czas, kiedy koty chorowały, wzywaliśmy miejscowego weterynarza. Zwykle zazdrośnie przyglądać się osobie, która posiadała doskonałą wiedzę o budowie tych stworzeń, poznała kazała ich kostkę, nerw i ścięgno.

Nie mogłem ochłonać więc ze zdumienia, kiedy dostałem się na akademię i zorientowałem się, że nigdzie nie zdołałem znaleźć jakiegokolwiek informacji na temat moich ukochanych kotów. Jea-nym z

podręczników było opasłe tomiszcze, zatytułowane Anatomia zwierząt domowych, autorstwa Sissona. Tylko bardzo krzepki mężczyzna mógł zdjąć je z półki, a przeniesienie tej książki wymagało sporego wysiłku. Skwapliwie przerzucałem stronicę, bogato ilustrowane schematycznymi szkicami budowy kom, wołów, owiec, świń i psów - w tej właśnie kolejności. O psie zaledwie wspomniano, jednakże na temat kotów nie mogłem niczego znaleźć. Wreszcie zajrzałem do indeksu. Nie natrafiłem na nie pod literą „k”, pomyślałem więc: aha, oczywiście, coś powinno być pod literą „f”, Felidae, czyli kotowate. Lecz i tutaj poszukiwania skończyły się fiaskiem, toteż ze smutkiem musiałem skonstatować, moi puchaci przyjaciele niegodni są nawet wzmianki.

Nie potrafiłem w to uwierzyć. Pomyślałem o tysiącach staruszków i inwalidów skazanych na przebywanie w domu, którzy o swoich kotów czerpali radość i pociechę. Jedynie takie zwierzęta mogli trzymać w domu. A co na to weterynaria? Rzecz polegała na tym, że po prostu była zadowolona o parę dziesiątków lat. Anato-raa Sisson nauka zasiała w 1910 roku i do 1930 kilkakrotnie ją wzna-

8

wiano. Tę zaś ostatnią edycję, pachnącą jeszcze farbą drukarską czytałem wnikliwie w studenckich latach. Później często wspominałem, że chociaż wykonując swój zawód leczyłem duże zwierzęta, to postanowiłem zostać weterynarzem głównie dlatego, iż pragnąłem zajmować się psami i kotami. Jednakże dyplom uzyskałem w latach trzydziestych, w dniach wielkiego kryzysu, kiedy trudno było o pracę, skończyło się więc na tym, że przemierzałem w kaloszach górzyste tereny północnego hrabstwa York. Zakotwiczylem

9

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

się tam na z górą pięćdziesiąt lat i cieszyłem się każdą spędzoną w tym miejscu chwilą, choć na początku sądziłem, że będzie brakować mi kotów.

Myliliem się. Koty były wszędzie. Mieszkały na każdej farmie. Odstraszały myszy i całe życie spędzały w wiejskim otoczeniu. Ceniły sobie wygodę i często, oglądając krowi łeb, dostrzegałem przytulne gniazdo kociąt, leżących przy matce w stogu siana. Widywałem je, jak przemykały między belami słomy albo rozkosznie wyciągały się w skapanych promieniach słońca kątach, gdyż kociaki nade wszystko ceniły sobie ciepło. W chłodne zimowe dni rozgrzana maska mojego samochodu stanowiła dla nich nieodpartą pokusę. Jak tylko zajeżdżałem na podwórko farmy, zaraz jeden lub dwa anektowały mój samochód. Niektórzy farmerzy byli prawdziwymi miłośnikami kotów, chociaż woleli, aby przebywały na dworze i wypełniały swoje obowiązki. W takich miejscach znajdowałem małą drużynę niewielkich stworzeń, rozkoszujących się niespodziewaną gratką w postaci ciepła, a kiedy odjeżdżałem, wzór z zabłoconych łapek znaczył każdy cal rozgrzanej blachy. Błoto szybko wysychało, a ponieważ nie miałem ani czasu, ani zamiłowania do mycia karoserii, łapki stały się nieodłączną dekoracją mojego auta.

W trakcie codziennego objazdu naszego prowincjonalnego miasteczka wielokrotnie natykałem się na niemłodych już gospodarzy, u których widywałem koty wylegujące się przy kominku lub na kolanach właścicieli. Towarzystwo tych zwierząt ogromnie urozmaicało życie staruszków.

Wszystko to nie pozwalało, bym zapomniał o kotach, aczkolwiek nasze oficjalne podręczniki lekceważyły je. Jednak działo się to ponad pięćdziesiąt lat temu, choć już i wtedy coś zaczynało się zmieniać. Zaczęto wspominać o kotach na wykładach w aka-

10

WSTĘP

demiami medycznych, natomiast ja bez wytchnienia starałem się zainteresować nimi studentów, którzy przyjeżdżali do nas na praktykę, a później, kiedy nasza praktyka rozszerzyła się, robiłem to samo z pojawiającymi się młodymi asystentami, napompowanymi ostatnimi nowinkami w tej dziedzinie wiedzy. Poza tym w fachowych pismach dla weterynarzy zaczęto publikować artykuły o kotach. Pochłaniałem je z wypiekami na twarzy.

Tak było w czasie mojej ponadpięćdziesięcioletniej praktyki weterynaryjnej, teraz zaś, kiedy już jestem na emeryturze i wszystko uległo poprawie, często sięgam pamięcią wstecz i dumam o zmianach, jakie w leczeniu zwierząt zaszły w ciągu mojego życia. Zaaprobowanie kotów było, rzecz jasna, jedynie niewielką częścią burzliwej rewolucji, jaka odmieniła moją profesję. Prawie zupełny zanik koni w gospodarstwach, wynalezienie antybiotyków, które niemal całkowicie wyeliminowały niemal średniowieczne medykamenty, jakie musiałem aplikować, wprowadzenie nowych metod operacyjnych, wchodzące nieustannie w życie cudowne, profilaktyczne szczepionki - wszystko to wydaje się spełnieniem marzeń.

Można się spierać lub nie, czy koty w dzisiejszych czasach należą do najczęściej spotykanych domowych stworzeń. Sławni lekarze weterynarii napisali o nich obszerne, znakomite dzieła, a niektórzy weterynarze specjalizują się tylko w tym gatunku, zlekceważywszy pozostałe.

Na biurku, przy którym piszę, jest spory stos starych podręczników, z których uczyłem się w tamtych zamierzchłych czasach. Między innymi Sisson, opasły jak dawniej, i wszystkie inne, które zachowałem, by zajrzeć do nich, kiedy próbuję przypomnieć sobie przeszłość albo kiedy chcę się serdecznie pośmiać. Obok nich są także znakomite nowe prace, traktujące tylko o jednym - o kotach.

11

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

Rozmyślałem także o przedziwnych poglądach, jakie wiele osób żywi na temat kotów. Że to egoistyczne stworzenia, które uczucie okazują jedynie wtedy, kiedy mogą uzyskać jakąś korzyść, i, w przeciwieństwie do psów, nie potrafią obdarzyć człowieka wiernopoddań-czą miłością. Że są stworzeniami absolutnie skupionymi na sobie i dbają wyłącznie o siebie. Co za bzdura! Wiem, jak koty potrafią ocierać się pyszczkami o moją twarz, a schowawszy pazurki, dotykać łapkami policzków. Moim zdaniem, są to objawy miłości.

Teraz, kiedy to piszę, nie mamy kota, gdyż nasz border terier nie akceptuje kotów i goni je. Jednak nie robi tego, póki koty nie zaczynają uciekać i mimo że walczy z każdym psem, nie bacząc na to, czy jest mniejszy, czy większy, w cichości ducha boi się kotów. Jeżeli kot staje w miejscu, Bodie, by go ominąć, ze strachu okrąża go szerokim łukiem. Lecz gdy drzemie - w trzynastej wiośnie życia to jego ulubione zajęcie - odwiedzają nas po sąsiedzku koty z wioski. Za kuchennym oknem mamy murek sięgający mi do piersi. Tam właśnie gromadzą się kociaki, by sprawdzić, czym możemy je poczęstować.

Trzymamy dla nich rozmaite łakocie, rozkładamy je na murku. Pojawia się jeden wspaniały złoto-biały kocur, który jest tak przyjazny, że woli raczej, by go głaskać niż karmić. Kiedyś niemal stoczyłem z nim bitwę - prawie wytrącił mi z dłoni pudełko ze smakołykami, gdy mrużąc rozgłosnie usiłował podepchnąć się pod moją rękę. Często muszę zaniechać karmienia i skupić się na głaskaniu kocura, lub, tak jak sobie życzy, drapać go pod bródką.

To jeden z najoczywistszych pewników, że kiedy człowiek przechodzi na emeryturę, nie powinien nawiedzać miejsca, w którym niegdyś pracował. Oczywiście, Skeldale House znaczy

^pr

—■■■

12

WSTĘP

dla mnie o wiele więcej, wiąże się z tysiącem wspomnień, tam wspólnie z Siegfriedem i Tristanem spędziłem kawalerskie dni, rozpocząłem małżeński żywot, widziałem, jak dorastają moje dzieci, i przez połowę wieku święciłem triumfy, ponosiłem także porażki w mojej karierze weterynaryjnej, ale wciąż nie potrafiłem się oprzeć, by nie zajrzeć tam i nie odebrać poczty. Przy takich okazjach zerkałem ukradkiem, co się też tam dzieje.

Praktykę przejął mój syn, Jimmy, wraz ze wspaniałymi młodymi współnikami. W ubiegłym tygodniu stałem przed gabinetem, obserwując nieustanny napływ małych zwierząt, przybywających na konsultacje, operacje, szczepienia. Tak, to różniło się od pierwszych lat mojej pracy, z której dziewięćdziesiąt procent należało wykonywać w terenie.

Odwróciłem wzrok od strumienia futrzaków i spytałem Jim-my'ego:

- Jakie zwierzaki najczęściej przyjmujesz w lecznicy? Zastanowił się chwilę, nim odpowiedział:

- Przypuszczam, że psy i koty, pół na pół, ale chyba jednak koty wysuwają się na prowadzenie.

1 Alfred -

kot ze sklepu ze słodyczami

Piekielnie bolało mnie gardło. Przez trzy noce z rzędu asystowałem przy koceniu się owiec na smaganych wietrzy-skiem wzgórzach, a robiłem to tylko w koszuli z podwiniętymi wysoko rękawami, co dało początek przeziębieniu. Poczulem więc pilną potrzebę nabycia dropsów przeciwkaszlowych Geoffa Hatfielda. Może i było to niezbyt ortodoksyjne lekarstwo, jednak z dziecięcą ufnością wierzyłem w moc owych małych cukierków, które rozplływały się w ustach, śląc ożywcze lekarstwo w głąb dróg oddechowych.

Sklep leżał przy bocznej uliczce, niemal skryty przed wzrokiem przechodniów, i był mikroskopijny - niewiele większy niż dziupla. Nad oknem ledwie mieścił się szyld: CUKIERNIA GEOFFREYA HATFIELDA. Jednak zaglądało tam mnóstwo klientów. Szczególnie dzisiaj, w dniu targowym, sklepik pękał w szwach.

Zabrząca dzwonek, kiedy otworzyłem drzwi i wcisnąłem się do środka między miejscowe gospodynie i żony farmerów. Musiałem chwilę poczekać, lecz wcale mi to nie przeszkadzało, gdyż oglądanie pana Hatfielda przy pracy warte było wszystkie czekania świata.

14

Pojawiłem się w odpowiedniej porze, albowiem właściciel był właśnie w wirze dokonywania wyboru. Stał zwrócony do mnie tyłem, siwowłosą lwią głowę przechylił lekko na szerokie ramie i pilnym wzrokiem przyglądał się wysokim słojom z cukierkami, stojącym rzędem pod ścianą. Ręce splótł na plecach, zaciskał je i rozluźniał na przemian, wpatrując się po kolei w każde ze szklanych naczyń. Przyszło mi wtedy na myśl, że lord Nelson, przemierzając mostek „Yictory” i obmyślając, jak tu

15

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

najlepiej podejść wroga, nie mógł być bardziej skoncentrowany.

Napięcie w sklepiku sięgnęło zenitu, kiedy Geoff wyciągnął rękę, następnie, kręcąc głową, cofnął ją i z westchnieniem podszedł do zgromadzonych dam. Ostatecznie, poważnie skinąwszy głową, wyprostował ramiona, wyciągnął dłonie i pochwycił jeden ze słoje. Obrócił się ku towarzystwu. Jego imponująca twarz rzymskiego senatora zmarszczyła się w dobrotliwym uśmiechu.

- Proszę, pani Moffat - zagrzmiał w kierunku zwałistej matrony i trzymając oburącz szklane naczynie zademonstrował je, przechylając lekko, z gracją i respektem jubilera z firmy Cartier prezentującego brylantowy naszyjnik. - Zastanawiam się, czy to by pani nie zaciekawilo.

Pani Moffat, dzierżąc koszyk na zakupy, pilnie obejrzała cukierki w słoju, owinięte w papierki.

- Hm, sama nie wiem...

- Jeżeli dobrze pamiętam, madam, wspomniała pani, że poszukuje czegoś w rodzaju rosyjskich karmelków, więc gorąco polecam te małe słodycze. Nie są zupełnie rosyjskie, mimo to bardzo smaczne, rozplływające się w ustach toffi. - Zrobił poważną, wyczekującą minę.

Soczyste tony jego opisu sprawiły, że zapragnąłem porwać cukierki i na miejscu je pochłonać.

Najwyraźniej podobny efekt wywarły na damie.

- Zgoda, panie Hatfield - oznajmiła łakomie. - Biorę pół funta. Sklepikarz uklonił się lekko.

- Piękne dzięki, madam. Jestem pewien, że nie pożałuje pani swojego wyboru. - Mina złagodniała, pojawił się łaskawy uśmiech. Kiedy z uczuciem wysypywał toffi na wagę, nim profesjonalnym

16

ALFRED - KOT ZE SKLEPU ZE SŁODYCZAMI

gestem zapakował je do torebki, ponownie zapragnąłem tych łakoci.

Pan Hatfield nachylił się, wsparł obiema dłońmi o ladę, nie odrywał wzroku od wychodzącej klientki, aż wreszcie pożegnał ją dwornym:

- Miłego dnia życzę, madam. - Teraz odwrócił twarz ku pozostałym gościom. - Och, pani Dawson, jak miło znów panią widzieć. Czym dzisiejszego poranka mogę sprawić pani przyjemność?

Dama, najwyraźniej zachwycona, uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Poprosiłabym o trochę tych nadziewanych karmelem czekoladek, które kupiłam w ubiegłym tygodniu, panie Hatfield. Były cudowne. Czy ma pan jeszcze?

- Oczywiście, madam, czuję się zaszczycony, że spodobał się pani mój wybór. Mają taki delikatny śmietankowy smak. Akurat tak się zdarzyło, że właśnie przywieziono towar, a w tym specjalne wielkanocne bombonierki. - Zdjął jedną z półki i zważył w dłoni. - Naprawdę śliczna i atrakcyjna, nie sądzi pani?

Pani Dawson energicznie pokiwała głową.

- O tak, rzeczywiście śliczniutka. Wezmę pudełko, ale chciałabym kupić coś jeszcze. Sporą torebkę słodowych landrynek dla rodziny, żeby miała co sobie possać. Wie pan, tych różnokolorowych. Ma je pan na składzie?

Pan Hatfield złożył strzeliście palce, utkwiał w klientce badawcze spojrzenie i westchnął przeciągle, w zadumie. Na dłuższą chwilę zastygł w tej pozie, wreszcie okręcił się na pięcie, założył dłonie rantfęgpdsi ponownie zaczął przeglądać słojów.

Tg&g^ć przedstawienia należała do moich ulubionych, więc jak

ALFRED - KOT ZE SKLEPU ZE SŁODYCZAMI

zawsze nie mogłem oderwać zachwyconego wzroku. Scena była znajoma. Maleńki, zatłoczony sklepik, właściciel zmagający się z postawionym mu zadaniem i Alfred siedzący w odległym krańcu lady.

Alfred, kot Geoffa, był tutaj od zawsze. Siadywał wyprostowany i majestatyczny na wypolerowanym blacie, tuż koło zasłony, przy korytarzyku prowadzącym do saloniku Hatfieldów. Jak zwykle, życzliwie obserwował całą procedurę, przenosił wzrok od twarzy swojego pana ku twarzy klienta. Chociaż mogłem to sobie tylko wyobrażać, czułem, że na pyszczku kota odbija się żywe zainteresowanie negocjacjami i głęboka satysfakcja, gdy pomyślnie dobijano targu. Nigdy nie opuszczał swojego posterunku, nie przechodził też na pozostałą część kontuaru, ale czasami jedna lub druga dama głaskała go po łebku, a wtedy odpowiadał ogłuszającym mruczeniem i wdzięcznym podsuwaniem główki.

Typowe dla niego, że nigdy nie ulegał pokusie nieprzystojnego okazywania emocji. Byłoby to wbrew jego godności, a godność należała do niewzruszonych cech jego charakteru. Nawet jako kociak nigdy nie poniżał się do niestosownych zabaw. Trzy lata temu wykastrowałem go - czego najwyraźniej nie miał mi za złe - i wyrósł na potężnego, życzliwego burego kocura. Teraz patrzyłem na niego - wielki, wyjątkowo spokojny, zadowolony ze swojego świata. Nikt nie wątpił, że to kot o imponującym wyglądzie.

Nieodmiennie nasuwała mi się myśl, że pod tym względem był idealnym odbiciem swojego pana. Znalazły się tylko dwa takie egzemplarze, więc nic dziwnego, że zostali tak oddanymi sobie przyjaciółmi.

Kiedy nadeszła moja kolej, mogłem dosięgnąć Alfreda. Podrapałem go pod bródką. Spodobało mu się to, unióśł wysoko łebek,

19

I

Ś11

"° -o .. S' ^ c

3' ся n з

-O'—'

!-0

! Я ?•

O- 7? — «

0.43. o- ■£ τ?

■ B- ■

o p 2 c ? » 5 ' i ^

O Ć ЯГ 'i

|. * K K I ?; S §•&
<- Łs k d - f:<- 3 r. c, a
p *3 | &r £ 3
ee
o
|

i ilhulm

7=

's

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

a z porośniętego gęstym futerkiem brzuszka dobyło się rozgłośnie gruchanie, odbijające się echem po całym sklepiku.

Nawet zakup pastylek przeciwkaszlowych odbywał się z pewnym ceremoniałem. Olbrzym za ladapoważnie obwąchał paczuszkę, potem kilkakrotnie postukał się w pierś.

- Panie Herriot, może pan wyczuć samo dobro, zbawienne olejki. W mgnieniu oka przywrócą panu zdrowie. - Ukłonił się, uśmiechnął, a ja przysiągłbym, że Alfred także uśmiechnął się pod wąsem. Utorowałem sobie między damami drogę i zmierzając ku drzwiom po raz tysięczny zdumiewałem się fenomenem Geoffreya Hatfielda. W Darrowby istniało wiele innych sklepów ze słodyczami, wielkich, o podwójnych witrynach, z towarami gustownie ułożonymi na wystawach, jednak żaden z nich nie dorównywał popularnością ciasnej dziupli, z której przed chwilą wyszedłem. Niewątpliwie należało to zawdzięczać niezwyklej technice kupieckiej Geoffa - z pewnością niczego nie udawał, on po prostu urodził się na kupca.

Jego maniery i kwiecisty sposób wyrażania się prowokowały liczne rubaszne komentarze mężczyzn, którzy wraz z nim jako czternastolatkiem skończyli edukację w miejscowej szkole powszechnej. W pubach często mówiono o nim „biskup”, wszakże nie było to złośliwe, gdyż był powszechnie lubiany. A panie, rzecz jasna, uwielbiały go i gromadnie odwiedzały, by pławić się w jego troskliwości.

ALFRED - KOT ZE SKLEPU ZE SŁODYCZAMI

Mniej więcej miesiąc później znowu zajrzałem do sklepiku, by kupić trochę ulubionej przez Rosie mieszanki lukrecjowej, i natknąłem się na ten sam obrazek - na uśmiechającego się i przemawiającego grzmiącym głosem Geoffreya. Alfred siedział na swoim miejscu, bacznie obserwując najmniejszy ruch, para ta promieniowała majestatem i samozadowoleniem. Gdy zabierałem słodycze, właściciel sklepiku szepnął mi do ucha:

- Panie Herriot, punkt dwunasta zamykam na lunch. Czy byłby pan łaskaw zajrzeć do nas i zbadać Alfreda?

- Ależ oczywiście. - Spojrzałem na wielkiego kota na ladzie. - Coś mu dolega?

- Och, nie, nic... ale po prostu wyczuwam, że coś jest nie w porządku.

Później zapukałem do zamkniętych drzwi. Geoffrey wpuścił mnie do opustoszałego sklepiku, potem wprowadził przez odgradzony zasłoną korytarzyk do salonu. Przy stole, popijając herbatę, siedziała pani Hatfield. Była osobą bardziej przyziemną od męża.

-No proszę, pan Herriot, przyszedł pan obejrzyć naszego małego kotka.

- Wcale nie jest taki mały - roześmiałem się. I rzeczywiście, siedzący przy kominku Alfred wyglądał jeszcze potężniej niż zazwyczaj. Spokojnie wpatrywał się w płomienie. Kiedy mnie dostrzegł, podniósł się, niespiesznie przemaszerował po dywanie i zaczął ocierać grzbiet o moje nogi. Dziwne, ale poczułem się wyjątkowo zaszczycony.

- On jest nadzwyczaj piękny, prawda? - powiedziałem cicho. Od jakiegoś czasu nie miałem bliższej styczności z kocurkiem, więc przyjazny pyszczek o ciemnych pręgach, biegnących ku inteligentnym ślepiom, zauroczył mnie jak nigdy dotąd. - No tak -

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

ciągnąłem, głaszcząc futerko, lśniące wspaniale w migających płomieniach - jesteś wielkim, przystojnym facetem. Zwróciłem się do pana Hatfielda:

- Wydaje mi się, że nic mu nie dolega. Co was zaniepokoiło?

- Och, może to nic takiego. Rzeczywiście, wygląda jak zwykle, lecz od jakiegoś tygodnia zauważyłem, że jakby stracił apetyt i nie jest tak żwawy. Chyba nie zachorował... po prostu inaczej się zachowuje.

- Sprawdzimy. Hm, obejrzyjmy go sobie. - Troskliwie zająłem się kotem. Temperaturę miał w normie, śluzówki różowe. Wyjąłem stetoskop, osłuchałem serce i płuca - nie dosłyszałem niczego niepokojącego. Badanie brzucha również nie dało mi żadnych wskazówek.

- No cóż, panie Hatfield - odezwałem się - nie wydaje mi się, aby mu coś szczególnego dolegało. Może jest nieco osłabiony, choć wcale na to nie wygląda. Na wszelki wypadek zaaplikuję mu zastrzyk z witaminami. To powinno go wzmocnić. Jeżeli nie nastąpi poprawa, pozwolę sobie zajrzeć za parę dni.

- Stokrotnie panu dziękuję, doktorze. Jestem niewypowiedzianie wdzięczny. Uspokoił mnie pan. - Olbrzym wyciągnął dłoń ku ulubieńcowi. Przekonaniu, brzmiaćemu w jego głosie, przeczyło malujące się na twarzy zatroskanie. Kiedy widziałem ich obu, ponownie odniosłem wrażenie, iż są do siebie podobni: mężczyzna i kot to człowiek i zwierzę, owszem, wszakże równie imponujące. Przez tydzień nie miałem żadnych wiadomości o Alfredzie, założyłem więc, że wrócił do normalnego stanu, jednak jego pan w końcu do mnie zadzwonił.

- Panie Herriot, kot wciąż się tak samo zachowuje. Szczerze

22

ALFRED - KOT ZE SKLEPU ZE SŁODYCZAMI

mówiąc, nic nowego, prócz tego, że nieco osłabł. Byłbym niezwykle wdzięczny, gdyby go pan ponownie zbadał.

Wszystko odbyło się jak poprzednim razem. Dokładne badanie nie wykazało nic szczególnego. Zastosowałem kurację złożoną z mieszanki minerałów i witamin w tabletkach. Nie wydało mi się celowe aplikowanie antybiotyków, które niedawno otrzymaliśmy - temperatura nie podskoczyła, nie zauważyłem też najmniejszych objawów infekcji.

Codziennie przechodziłem tą uliczką- znajdowała się w odległości zaledwie stu jardów od Skeldale Hause - i weszło mi w zwyczaj przystawanie przed witryną sklepiku i zagłądanie do środka.

Codziennie natykałem się na znajomą scenę: Geoff kłaniał się i uśmiechał do klienteli, Alfred zaś siedział na swoim miejscu przy końcu lady. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, a jednak... naprawdę z tym kotem było coś nie tak.

Zaszedłem tam któregoś wieczoru i znowu zbadałem Alfreda.

- Traci na wadze - stwierdziłem. Geoffrey kiwnął potakująco głową.

- Tak, mnie też się tak wydaje. Wciąż niezłe sobie podjada, jednak już nie z takim apetytem jak dawniej.

- Proponuję, by przez kilka następnych dni podawać mu te pigułki - powiedziałem - i jeśli nie nastąpi poprawa, zabiorę go do lecznicy i trochę gruntowniej przebadam.

Miałem paskudne przecucie, że kotu wcale się nie polepszy, i nie myliłem się. No i któregoś popołudnia wniosłem do sklepiku klatkę dla kotów. Alfred był tak duży, że z trudem mógł się w niej zmieścić, ale się wcale nie opierał, kiedy delikatnie wpychałem go do środka.

W lecznicy pobrałem próbkę krwi i zrobiłem mu rentgen. Kli-

23

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

sza nie wykazała żadnych zmian, a kiedy z laboratorium przysłano morfologię, też nie odbiegała od normy.

Do pewnego stopnia było to uspokajające, lecz nie na wiele się zdało, gdyż kot coraz bardziej opadał z sił. Kilka następnych tygodni przypominało koszmar senny. Weszło mi zwyczaj, by codziennie z niepokojem zagłądać przez okno cukierenki. Ogromny kot wciąż tkwił na swoim posterunku, lecz coraz bardziej tracił na wadze, aż wreszcie trudno go było rozpoznać. Zmieniałem

mu liczne lekarstwa, jakie tylko przyszły mi na myśl, ale wszystko na nic. Przeprowadziłem Siegfrieda, by też go zbadał, wszakże jego diagnoza okazała się taka jak moja. Postępujące wycieńczenie mogło być oznaką rozwijającej się w organizmie choroby nowotworowej, ale kolejne prześwietlenia niczego nie wykazały. Alfred musiał mieć już serdecznie dosyć ciągłego przenoszenia go z miejsca na miejsce, badań, ugniatania żołądka, jednak nigdy nie okazał zniecierpliwienia. Godził się na wszystko z właściwym sobie stoickim spokojem.

Zdarzyło się jeszcze coś, co pogarszało całą sprawę. Geoff bowiem sam marniał pod wpływem zmartwienia. Powoli tracił przyjemną tuszę, zazwyczaj rumiane policzki zapadły się i pobladły, a co najtragiczniejsze, najwyraźniej opuszczały go teatralne kupieckie talenty. Któregoś dnia zaniechałem zagładania przez szybę i roztrącając damy przepchnąłem się do środka sklepika. Geoff, nachylony i skurczony w sobie, bez śladu uśmiechu przyjmował zamówienia, bezszelstnie przesypywał cukierki do torebek i mamrotał pod nosem parę słów. Zniknęły gdzieś grzmiący głos i wesole pogawędki z klientkami. Całe to towarzystwo niepokojąco milczało. Było tu tak, jak w każdej innej cukierni.

24

ALFRED - KOT ZE SKLEPU ZE SŁODYCZAMI

Najżałośniejszy widok przedstawiał sobą sam Alfred. Wciąż dzielnie zajmował swoje miejsce. Niewiarygodnie wychudł, futerko straciło blask, patrzył przed siebie martwym wzrokiem, jak gdyby nic go już nie interesowało. Przypominał kocie straszdyło.

Nie mogłem już dłużej tego zdzierżyć. Wieczorem zaszedłem do Geoffa Hatfielda.

- Widziałem dzisiaj waszego kota - oznajmiłem. - Zjeżdża po równi pochyłej. Są jakieś nowe objawy?

Olbrzym posepnie skinął głową.

- Po prawdzie, tak. Miałem zamiar do pana zadzwonić. Trochę wymiotuje.

Wbiłem paznokcie w dłoń.

- A więc znowu. Wszystko wskazuje na to, że coś jest nie w porządku z jego brzuchem, a ja nie potrafię znaleźć przyczyny. - Nachyliłem się i pogłaskałem Alfreda. - Nie mogę pozwolić, by tak wyglądał. Popatrzcie na jego futerko. Przedtem było lśniące.

- Zgadza się - odparł Geoffrey. - Zaniedbał je. Teraz wcale się nie myje. Jak gdyby uważał, że nie ma się już co fatygować. A przedtem, zawsze... lizał i lizał, i lizał futerko bez końca.

Wlepiłem oczy w Geoffa. Jego słowa odblokowały w mojej głowie jakąś klapkę.

- Liże się, liże i liże. - Urwałem, zamyśliłem się. - Tak... teraz, kiedy się nad tym zastanowię, to chyba żaden kot nie mył się tyle co Alfred... - Iskierka nagle rozpalila się w płomień, poderwałem się na krzesło.

- Panie Hatfield! - zawołałem. - Zamierzam na wszelki wypadek przeprowadzić operację.

- Co to znaczy?

25

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

- Sądzę, że Alfredowi w żołądku zaległa zbita kula włosia, muszę mu więc otworzyć brzuch, by się o tym przekonać.

- To znaczy, otworzyć go?

- Zgadza się.

Zakrył dłońmi oczy, opuścił brodę na piersi. Trwał tak dłuższą chwilę, potem zmierzył mnie udreżonym wzrokiem.

- Och, sam nie wiem. Coś takiego nigdy nie przyszłoby mi do głowy.

- Musimy coś zrobić, inaczej ten kot umrze.

Nachylił się, kilkakrotnie pogłodził Alfreda po łebku, potem, nie podnosząc głowy, odezwał się schrypniętym głosem:

- Zgoda, kiedy?

- Jutro rano.

Nazajutrz w sali operacyjnej pochylaliśmy się z Siegfriedem nad uśpionym kotem, a w mojej głowie kłębiło się od szalejących myśli. Ostatnio wykonywaliśmy kilka operacji na małych

zwierzętach, lecz wtedy zawsze wiedziałem, czego się mogę spodziewać. W tym przypadku zdawałem sobie sprawę, że podejmuję ryzyko.

Zrobiłem nacięcie i w żołądku zobaczyłem wielki, zbity kłęb włosia, przyczynę wszystkich kłopotów. Było to coś, czego prześwietlenie nie mogło wykazać.

Siegfried uśmiechnął się od ucha do ucha.

- No, teraz już wiemy!

- Tak - zgodziłem się, czując, jak ogarnia mnie niewysłowiona fala ulgi. - Tak, teraz wiemy.

Znalazłem jeszcze więcej mniejszych, zbitych kłębów sierści, przed zaszcyciem należało je wszystkie usunąć. To mi się nie podobało. Oznaczało bowiem większą dawkę narkozy i silniejszy szok

26

ALFRED - KOT ZE SKLEPU ZE SŁODYCZAMI

dla mojego pacjenta, jednak wreszcie uporaliśmy się ze wszystkim i widać było jedynie schludny szew na skórze.

Kiedy odwiozłem Alfreda do domu, jego pan z trudem odważył się na niego spojrzeć. Po dłuższej chwili wahania lekko zerknął na kota, wciąż śpiącego pod narkozą.

- Przeżyje? - szepnął Geoff.

- Ma wszelkie szanse - odpowiedziałem. - Przeszedł poważną operację i pewnie musi minąć trochę czasu, nim dojdzie do siebie, lecz to młody i silny kot. Wydobrzeje.

Widziałem, że Geoff nie jest do końca przekonany, podobnie zachowywał się przez kilka następných dni. Regularnie odwiedzałem pokój za sklepem, aplikowałem kotu zastrzyki z penicyliny. Odnosiłem jednak wrażenie, że Geoff wbił sobie do głowy, iż Alfred lada chwila umrze. Pani Hatfield okazała się większą optymistką, martwiła się wszakże o męża.

- Ech, stracił już wszelką nadzieję - mówiła. - A to wszystko dlatego, że Alfred cały dzień wyleguje się w jego łóżku. Usiłowałam przekonać starego, że jeszcze trochę i kot zacznie hasać po całym domu, ale on mnie nie słucha. - Popatrzyła stroskana. - Panie Herriot, pan też widzi, że to go niszczy. Kompletnie się zmienił. Czasami zastanawiam się, czy jeszcze kiedykolwiek wróci do siebie.

Poszedłem, by zerknąć zza kotary oddzielającej sklepik. Geoff był na miejscu, ale zachowywał się jak automat. Wychudły, posępny, w milczeniu podawał łakocie. Gdy się odzywał, to beznamietnym tonem. Wstrząśnięty pojąłem, iż jego głos utracił uprzednią dźwięczność. Pani Hatfield nie myliła się. Geoff całkowicie się zmienił. A kiedy już taki zostanie na zawsze, to jak zareaguje jego klientela? Jak dotąd, pozostawała mu wierna, zdawałem so-

27

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

bie jednak sprawę, iż wkrótce zacznie przenosić się do innych cukierni.

Minął prawie tydzień, zanim wszystko zaczęło obracać się na lepsze. Wszedłem do saloniku i nie zobaczyłem Alfreda.

Pani Hatfield zerwała się z fotela.

- Jest mu o wiele lepiej, panie Herriot - oznajmiła dziarsko. - Dobrzeje i wszystko wskazuje na to, że chce wychodzić do sklepu. Towarzyszy już tam Geoffowi.

Znów ukradkiem zerknąłem za kotarę. Alfred zajmował zwykłe miejsce, był wychudły, lecz wyprostowany. Jego pan jednak wcale nie wyglądał lepiej.

Wróciłem do saloniku.

- Cóż, pani Hatfield, nie widzę potrzeby dalszych wizyt. Wasz kot jest na dobrej drodze do wyzdrowienia. - Tego byłem pewny, miałem wszak wątpliwości co do Geoffa.

W tym czasie wiosenne kocenie się owiec i poporodowe komplikacje jak co roku pochłaniały mi całe dnie, zatem niewiele miałem czasu, by zajmować się innymi przypadkami. Pewnie minęły ze trzy tygodnie, nim ponownie zajrzałem do sklepiku, żeby kupić czekoladki dla Helen. W dziupli było rojno, przepchnąłem się więc do kontuaru, zdjęty dawnym strachem. Niespokojnie zerknąłem na właściciela sklepu i jego kota.

Alfred, olbrzymi i dostojny jak przedtem, niczym król zasiadał na odległym krańcu kontuaru. Geoff

pochylał się nad ladą, wsparty o nią obiema dłońmi, intensywnie wpatrywał się w oczy klientki.

28

ALFRED - KOT ZE SKLEPU ZE SŁODYCZAMI

- O ile dobrze panią zrozumiałem, pani Hird, życzy pani sobie miękkich cukierków. - Gromki głos huczał w sklepiku. - A może skosztuje pani „Tureckich Łakoci”?

- Nie, panie Hatfield, nie tego...

Głowa sklepikarza opadła na piersi, z żarliwą koncentracją wpatrywał się w kontuar. Potem uniósł głowę i wychylił się ku damie:

- Może pastylkę...? -Nie... nie.

- Trufkę? Miękki karmelek? Miętową pomadkę?

- Nie, nic z tych rzeczy.

Wyprostował się. Był z niego twardziel. Splótł ręce na piersiach, popatrzył w dal, westchnął głęboko, zorientowałem się więc, że znowu jest tym samym potężnym człowiekiem, rozłożył szeroko ramiona, twarz miał rumianą, policzki pełne.

Ów głęboki namysł nie przyniósł pożądaných rezultatów, toteż Geoff wysunął szczękę i zwrócił oczy w górę, szukając natchnienia w suficie. Zauważyłem, że Alfred zrobił to samo.

Na chwilę zapadła pełna napięcia cisza, Geoff tkwił za ladą niczym słup soli, następnie jego patrycjuszowskie rysy rozjaśnił cień uśmiechu.

- Madam - przemówił - wydaje mi się, że odgadłem, czego pani potrzebuje. Mówiła pani, że coś białego... niekiedy różowego... miękkiego. Może zaproponuję zatem prawoślaz?

Pani Hird puknęła w ladę.

- Oczywiście, panie Hatfield. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak to się nazywa.

- Ha, ha, tak właśnie myślałem - zahuczał właściciel sklepiku, a jego potężny głos odbijał się echem o sklepienie. Roześmiał się,

29

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

zawtórowały klientki, ja zaś odniosłem wrażenie, że dołączył do nich i Alfred.

I wszystko potoczyło się świetnie, jak dawniej. Wszyscy w sklepiku byli szczęśliwi - Geoff, Alfred, klientki i na ostatek, choć wcale nie mniej uradowany, James Herriot.

:'

%

40 Ó'-

m

2 Oskar-

kot towarzyski

Pewnej wiosny, późnym wieczorem, kiedy wciąż mieszkaliśmy z Heleną w naszym mikroskopijnym mieszkanku pod dachem Skeldale House, Tristan krzyknął z dołu, z oddalonego korytarza:

- Jim! Jim!

Wyszedłem i przechyliłem głowę przez poręcz:

- Co tam, Tristan?

- Przepraszam, że ci zawracam głowę, Jim, ale czy mógłbyś zejść na minutkę? - Na jego twarzy, którą zwrócił ku mnie, wyraźnie malował się niepokój.

Zbiegłem pospiesznie, przeskakując dwa stopnie, i kiedy nieco zadyszany stanąłem na parterze, Tristan gestem wezwał mnie do gabinetu, znajdującego się na zapleczu domu. Przy stole stała nastoletnia dziewczynka, dłoń trzymała na poplamionym krwią, zwiniętym kocyku.

- To kot - oświadczył Tristan. Odwinął kocyk i zobaczyłem wielkiego, pręgowanego kocura. A przynajmniej powinien być ogromny, gdyby kości pokrywała choć odrobina ciała, lecz jego

31

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

żebra i miednica boleśnie wystawały pod futerkiem, a kiedy przesunąłem dłonią po bezwładnym

ciałku, wyczułem jedynie cienką warstwę skóry.

Tristan odchrząknął.

- Jest jeszcze coś, Jim.

Spojrzałem na niego zdziwiony. Akurat teraz nie wydawało się, by miał ochotę do żartów.

Patrzyłem, jak delikatnie uniósł jedną z tylnych łap kota. Na brzuchu ujrzałem wielką ranę ciętą i

rozliczne obrażenia. Wciąż w szoku, nie mogłem oderwać oczu, kiedy przemówiła dziewczynka:
- Dostrzegłam tego kocurka, jak siedział w ciemności na podwórku Brownów. Pomyślałam, że jest okropnie chudy i jakby za spokojny, więc pochylałam się, by go pogłaskać. Wtedy zorientowałam się, że jest ciężko ranny, pobiegłam do domu po kocyk, no i przyniosłam go tutaj.

- Bardzo dobrze zrobiłaś - pochwaliłem ją. - Nie wiesz przypadkiem, do kogo on należy?

Dziewczynka potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, pewnie się zabłąkał.

- Rzeczywiście. - Z trudem odwróciłem wzrok od straszliwych ran. - Ty jesteś Marjorie Simpson, prawda?

-Tak.

- Dobrze znamy twojego tatę. Jest naszym listonoszem.

- Zgadza się. - Spróbowała zmusić drżące wargi do uśmiechu. - Hm, przypuszczam, że najlepiej będzie, jak go tutaj zostawię. Pomożecie mu pewnie w tym nieszczęściu. Czy nikt nie może... nie może czegoś dla niego zrobić?

Wzruszyłem ramionami i potrząsnąłem głową. Oczy dziewczynki napęłniły się łzami. Wyciągnęła rękę i dotknęła wymizero-

32

OSKAR - KOT TOWARZYSKI

wanego stworzenia, a potem odwróciła się i spokojnie ruszyła w stronę drzwi.

- Jeszcze raz ci dziękuję, Marjorie - zawołałem do jej pleców. - Nie martw się, zajmiemy się kotem.

W ciszy, jaka później zapadła, spoglądaliśmy z Tristanem na zmasakrowane zwierzę.

- Co o tym myślisz? - odezwał się wreszcie Tristan. - Czy coś go przejechało?

- Możliwe - odparłem. - Mogło się wszystko wydarzyć. Zaatakował go wielki pies albo jakiś człowiek skopał go lub uderzył. Wszystko jest możliwe w przypadku kotów, gdyż niektórzy ludzie skłonni są traktować je jako przedmiot okrutnej rozrywki.

Tristan kiwnął głową.

- Poza tym, cokolwiek się zdarzyło, musi być na granicy śmierci głodowej. Wygląda jak szkielet.

Załóżę się, że zawędrował wiele mil od domu.

- No tak - westchnąłem. - Obawiam się, że pozostaje nam tylko jedno do zrobienia. Przypadek jest beznadziejny.

Tristan nic nie odpowiedział, tylko cichutko pogwizdując, czubkiem palca głaskał futrzastą mordkę. I nagle stało się coś niewiarygodnego, gdzieś z głębi wynędzniałej piersi dobyło się delikatne mruczenie.

Mój młodszy wspólnik popatrzył na mnie, oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki.

- Wielkie nieba, czy też to słyszałeś?

- Tak... coś zdumiewającego w jego stanie. To przyjazny z natury kociak.

Tristan, pochyliwszy się nad nim, nie przestawał go głaskać. Dobrze wiedziałem, jak musiał się czuć. Chociaż do naszych pa-

33

TiTWslosSu

o r-'E- '-' a

Ю Б

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

cjentów odnosił się z pogodnym i stoickim nastawieniem, w jednej sprawie nie mógł mnie zwieść: miał słabość do kotów. Nawet teraz, kiedy obaj dźwigamy już szósty krzyżyk na karku, często nad

kuflem piwa opowiada mi o kocie, który mu od wielu lat towarzyszy. Jest to typowy związek - obaj bez miłosierdzia się oszukują - a jednak oparty na prawdziwym uczuciu.

- Nic z tego, Triss - powiedziałem łagodnie. - Musimy to zrobić. - Sięgnąłem po strzykawkę, ale coś we mnie zbuntowało się przeciwko wbiciu igły w żalotne ciało. I zamiast tego naciągnąłem koc na jego pyszczek.

- Nalej trochę eteru na materiał - poleciłem. - Po prostu uśnie.

Tristan bez słowa odkręcił butelkę z eterem i nachylił ją nad łebkiem. I wtedy spod bezładnej kupki koca usłyszeliśmy to znowu. Niskie mruczenie stawało się coraz głośniejsze, aż wreszcie stało się tak donośne, że huczało nam w uszach niczym warkot motocykla w oddali.

Tristan wyglądał, jakby zamienił się w słup soli, dłoń sztywno zaciskał na butelce, wzrok utkwiał w skłębionej szmatce, spod której falami dobiegało przyjacielskie mruczenie.

Wreszcie podniósł ku mnie oczy i przełknął ślinę.

- Wcale mnie to nie bawi, Jim. Nie możemy jakoś zadziałać?

- To znaczy spróbować załatać to wszystko?

- Tak. Moglibyśmy chyba zszyć po kolei rany? Uniosłem kocyk i znowu się przypatrzyłem.

- Uczciwie mówiąc, Triss, nie mam pojęcia, od czego zacząć. A rany są bardzo zainfekowane.

Nic nie odpowiedział, tylko uporczywie się we mnie wpatrywał. Mnie zaś nie trzeba było długo przekonywać. Podobnie jak

34

OSKAR - KOT TOWARZYSKI

Trissowi, i mnie nie uśmiechało się uśpienie eterem tego przyjaźnie gruchającego stworzenia.

- Zabierajmy się w takim razie do dzieła - powiedziałem. - Mamy mnóstwo do zrobienia.

Tlen syczał, na pyszczku kota leżała maska z narkozą. Obmyliśmy ciało ciepłym roztworem soli fizjologicznej. Powtarzaliśmy to kilkakrotnie, jednakże nie sposób było usunąć całego zapiekłego brudu. Potem przystąpiliśmy do trwającej całe wieki operacji zszywania ran. Cieszyłem się, że smukłe palce Tristana lepiej od moich manipulują cienkimi, zakrzywionymi igłami.

Dwie godziny i całe jardy katgutów później skończyliśmy, wszystko wyglądało już porządnie.

- Tak czy owak, żyje, Triss - odezwałem się, myjąc instrumenty. - Podamy mu sulphapiridynę i będziemy trzymać kciuki, żeby nie wdało się zapalenie otrzewnej. - W tamtych czasach nie było jeszcze antybiotyków, ale ten nowy lek to był już ogromny postęp.

Otworzyły się drzwi, weszła Helen.

- Długo nie wracałeś, Jim. - Zbliżyła się do stołu zabiegowego i popatrzyła na śpiącego kota. - Jaka nieszczęsna chudzina. Same kości.

- Powinnaś go zobaczyć, gdy go przyniesiono. - Tristan wyłączył sterylizator i zamknął zawór aparatu do podawania narkozy. - Teraz wygląda o niebo lepiej.

Przez chwilę głaskała kociaka.

- Czy jest ciężko ranny?

- Lękam się, że tak, Helen - odezwałem się. - Uczyniliśmy, co w naszej mocy, lecz szczerze mówiąc, nie sądzę, by miał zbyt duże szanse.

35

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

- Jaka szkoda. Jest taki śliczny. Cztery białe skarpetki i te niezwykle kolory sierści. - Przesuwała palcami po delikatnych rudych i miedzianozłotyach pręgach, przemieszanych z szarymi i czarnymi. Tristan parsknął śmiechem.

- Aha, sądzę, że ten gość wśród swoich przodków musiał mieć rudego kocura.

Helen także się uśmiechnęła, lecz była jakby nieobecna. Zauważyłem, że nad czymś się intensywnie zastanawia. Pospieszyła do składziku, skąd wróciła z pustym pudełkiem.

- Tak... tak... - powiedziała w zamyśleniu. - Urządzą mu posłanie w tym pudle, będzie spał w naszym pokoju, Jim.

- W naszym?

- Owszem, musi przecież mieć ciepło, zgadza się?

- Oczywiście, zwłaszcza że noce są wciąż chłodne. Później, w ciemności naszej sypialni, z łóżka

przypatrywałem

się rozczulającej scenie: Sam, pies gończy, w swoim koszyku po jednej stronie kominka, na którym migotały płomienie, a kot na poduszce i otulony kocykiem w pudełku po przeciwnej.

Zapadając w sen, rozmyślałem, jak dobrze wiedzieć, że mojemu pacjentowi jest wygodnie, jednakże zastanawiałem się, czy rano zastanę go jeszcze przy życiu...

O wpół do ósmej rano wiedziałem już, że żyje, ponieważ moja żona wstała i przemawiała do kocurka. Przemierzyłem w piżamie sypialnię i popatrzyliśmy sobie z kotem w oczy. Podrapałem go pod bródką otworzył pyszczek w ochryplym „miau”. Ale nie próbował wstać.

- Helen - odezwałem się. - To stworzonko jest w środku całe pozszywane katgutem. Przez tydzień, a prawdopodobnie dłużej,

36

"::

W|' «i'■*. t *

МНИТ ШШШЯТШТ

:>f JULU-IIIЭ

nie może przyjmować niczego poza płynami. Jeżeli zostanie u nas na górze, będziesz podawała mu mleko łyżeczką sto razy dziennie.

- W porządku, w porządku. - Ponownie w jej oczach pojawiła się zaduma.

Przez kilka następnych dni dostawał nie tylko mleko. Ekstrakt z wołowiny, bulion i pełny wybór wymyślnych papkek dla niemowląt w regularnych odstępach czasu trafiały do jego gardła. Któregoś razu, w porze lunchu, zastałem Helen kłęczącą przy pudełku.

37

>

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

- Nazwiemy go Oskar - oświadczyła.

- To znaczy, że chcesz go u nas zatrzymać?

- Owszem.

Uwielbiam koty, jednak w naszym ciasnym mieszkanku mieliśmy już psa, przewidywałem więc niejaki trudności. Mimo to postanowiłem, że niech się dzieje, co chce.

- Ale dlaczego Oskar?

- Nie mam pojęcia. - Helen wlała kilka kropel wywaru na małe różowy języczek i bacznie obserwowwała, jak kot przetyka.

Jedną z rzeczy, które uwielbiam u kobiet, jest tajemniczość, niezgłębiona część ich osobowości, nie drażyłem więc dalej tego tematu. Zadowolony jednak byłem z rekonwalescencji stworzenia. Co sześć godzin aplikowałem kotu sulphapiridynę, rano i wieczór mierzyłem mu temperaturę, cały czas lękając się, że wyskoczy gorączka, zacznie wymiotować i wda się zapalenie otrzewnej. Wszakże nic takiego się nie zdarzyło.

Wydawało się, że zwierzęcy instynkt podpowiadał Oskarowi, by się jak najmniej ruszał, gdyż dzień za dniem ani drgnął, spoglądał tylko na nas - i mruczał.

Jego mruczenie stało się częścią naszego życia, więc kiedy wreszcie podniósł się ze swego posłania, powłócząc nogami zwiedził kuchnię i popróbował obiadu Sama, złożonego z mięsa i herbatników, przeżyliśmy chwilę triumfu. Nie zepsułem jej dociekaniem, czy może już jeść stałą karmę; czułem, że on wie.

Od tamtej pory czystą radością było obserwowanie, jak futrzany strach na wróble tłuszczuje i staje się coraz silniejszy. Jadł i jadł bez końca, kości pokryły się ciałkiem i w pełnej krasie objawiła lśniąca różnorodność jego sierści - rudo-czarno-złotej. Trafił się nam wyjątkowo przystojny kot.

38

OSKAR - KOT TOWARZYSKI

Gdy Oskar wrócił do zdrowia, Tristan prawie od nas nie wychodził.

Przypuszczalnie uważał, i miał rację, że to raczej on niż ja ocalił Oskarowi życie, toteż godzinami się z nim bawił. Ulubioną igraszką było wysuwanie stopy z za rogu stołu i chowanie jej, aż kot

wreszcie skakał na nią z pazurami.

Oskara słusznie irytowała ta sztuczka, toteż któregoś wieczoru zaczął się na Tristana i solidnie ugryzł go w kolano, nim tamten zaczął swoją zabawę.

Z mojego punktu widzenia Oskar wiele wniósł do naszego gospodarstwa. Sam był nim zachwycony i oba zwierzaki szybko się zaprzyjaźniły. Helen uwielbiała kota, ja zaś co wieczór myślałem, że miły kociak, myjący przy kominku pyszczek, sprawia, iż nasze mieszkanie staje się przytulniej sze. Oskar od wielu tygodni był już członkiem naszej rodziny, kiedy wróciłem do domu z późnej wizyty. Helen czekała na mnie, miała ściągniętą twarz.

- Co się stało? - spytałem.

- To Oskar... nie ma go.

- Nie ma? Co to znaczy?

- Och, Jim, sądzę, że uciekł. Wlepiłem w nią wzrok.

- Nie mógłby tego zrobić. Wiezorami często wyprawia się do ogrodu. Sprawdziłaś, czy go tam nie ma?

39

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

- Oczywiście. Zaglądałam też na podwórko. Nawet obeszłam miasteczko. A przypomnij sobie... - Zadrzała jej broda. - Już... już kiedyś skądś uciekł.

Zerknąłem na zegarek.

- Dziesiąta. Tak, to dziwne. O tej porze nie powinien być poza domem.

Kiedy to mówiłem, zadzwieczał dzwonek u frontowych drzwi. Zbiegłem po schodach i gdy skręciłem za róg korytarza, przez szybkę ujrzałem panią Heslington, żonę wikarego. Co tchu otworzyłem. Trzymała w ramionach Oskara.

- To chyba pański kot, panie Herriot - powiedziała.

- Rzeczywiście, pani Heslington. Gdzie go pani znalazła? Uśmiechnęła się.

- To raczej dziwne. Miałyśmy właśnie w kościele spotkanie Wspólnoty Matek i spostrzegłyśmy, że na sali siedzi kot.

- Po prostu siedzi?...

- Tak, jak gdyby przysłuchiwał się naszej rozmowie i bardzo mu się podobała. Po skończonym spotkaniu pomyślałam, że lepiej go panu odniosę.

- Jestem stokrotnie wdzięczny, pani Heslington. - Porwałem od niej Oskara i wepchnąłem go pod pachę. - Żona jest zrozpaczona... sądziła, że zaginął.

Była to spora zagadka. Dlaczego kocur tak niespodziewanie wyruszył na taką wyprawę? Jednakże, skoro w ciągu następnego tygodnia zachowywał się jak zwykle, cała sprawa wyleciała nam z głowy. Potem, któregoś wieczoru, pewien człowiek przyprowadził psa na szczepienie i nie zamknął za sobą drzwi. Kiedy poszedłem na górę do naszego mieszkania, zorientowałem się, że Oskar znowu zniknął. Tym razem wraz z Helen na próżno przeszukiwa-

40

OSKAR - KOT TOWARZYSKI

liśmy rynek i boczne uliczki i gdy o wpół do dziesiątej wróciliśmy do domu, ogarnęła nas czarna rozpacz. Dochodziła jedenasta, szykowaliśmy się już do snu, kiedy zabrzączał dzwonek.

Znowu Oskar, tym razem przytulony do wydatnego brzucha Jacka Newboulda. Jack opierał się o framugę, a świeże, wiejskie powietrze, napływające z ciemnej uliczki, mieszało się z oparami piwa. Jack pracował jako ogrodnik w jednej z większych rezydencji. Czknął elegancko i obdarzył mnie szerokim, dobrodusznym uśmiechem.

- Odniosłem panu kociaka, panie Herriot.

- Wielkie nieba, dzięki, Jack! - zawołałem, z wdzięcznością zgarniając Oskara. - Do diabła, gdzieś pan go znalazł?

- Hm, jakby to powiedzieć, właściwie to on mnie znalazł.

- Wjaki sposób?

Jack przymknął na kilka chwil oczy, nim starannie wyartyku-ował:

- Dzisiaj jest wielki wieczór, pan wie, panie Herriot. Zawody w rzutach strzałkami. W „Dog and

Gun" zjawilo się mnóstwo gości... cała kupa. Wielkie zgromadzenie.

-1 nasz kot też tam zawędrował?

- Taaa, już tam był. Zasiadł między facetami. Spędził z nami cały wieczór.

- Zwyczajnie sobie siedział?

- Tak było - Jack roześmiał się na to wspomnienie. - Na Boga, on wyraźnie dobrze się bawił.

Poczęstowałem go parę razy kropelką piwa ze swojego kufła i wydawało mi się, że za chwilę pomaszkuje rzucić strzałkami. To nie było jakie kocur. - I znowu parsknął śmiechem.

41

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

Niosąc na górę Oskara, pograżyłem się w myślach. Po co on tam polazł? Jego nagłe zniknięcia przygnębiały Helen, ja zaś czułem, że za chwilę też puszcza mi nerwy.

Nie musiałem długo czekać na następny raz. Teraz nie zawracaliśmy już sobie z Helen głowy poszukiwaniami - po prostu czekaliśmy.

Wrócił wcześniej niż zwykle. O dziewiątej usłyszałem dzwonek do drzwi. Przez szybkę zaglądała wiekowa panna Simpson. Wcale nie trzymała Oskara - kręcił się na słomiance, czekając, aż zostanie wpuszczony.

Panna Simpson obserwowała z zainteresowaniem, jak kot wma-szerował do domu i skierował się w stronę schodów.

- Och, świetnie, taka jestem rada, że bezpiecznie wrócił do domu. Wiedziała, że to pański kot, a cały wieczór intrygowało mnie jego zachowanie.

- A gdzie... jeśli mogę spytać?

- Och, w Instytucie dla Pań. Pojawił się wkrótce po tym, jak rozpoczęliśmy, i został do samego końca.

- Doprawdy? A jaki panie miały program?

- Hm, trochę spraw organizacyjnych, potem krótką pogadankę z przezrociami, prowadzoną przez pana Waltersa ze spółki wodnej, a zakończyliśmy konkursem pieczenia ciast.

- Tak... tak... a co robił Oskar? Roześmiała się.

- Dołączył do towarzystwa, najwyraźniej podobały mu się przezrocza, no i ogromnie zainteresował się ciastami.

- Rozumiem. I pani przyniosła go do domu?

- Nie, sam znalazł drogę. Jak pan wie, muszę koło was przechodzić, więc po prostu zadzwoniłam do drzwi, by dowiedział się pan o jego powrocie.

42

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

- Jestem pani wielce zobowiązany, panno Simpson. Trochę się niepokoiliśmy.

Schody pokonałem w rekordowym tempie. Helen siedziała z kotem na kolanach. Kiedy jak burza wpadłem do pokoju, podniosła głowę.

- Już wszystko wiem o Oskarze - powiedziałem.

- Co takiego wiesz?

- Dlaczego znika wieczorami. On wcale nie ucieka, on chodzi z wizytą.

- Z wizytą?

- Owszem - potwierdziłem. - Czy pojmujesz? Uwielbia się włóczyć, uwielbia ludzi, zwłaszcza jakieś spotkania, interesuje się tym, co robią. Jest z natury niezwykle przyjacielski.

Helen spojrzała na piękny, futrzany kłębek, leżący na jej kolanach.

- Oczywiście... o to chodzi... jest duszą towarzystwa!

- Właśnie, lew salonowy!

- Bywalec!

Zaczęliśmy się życzliwie śmiać. Oskar usiadł i przyglądał się nam z wyraźną przyjemnością, do ogólnej wesołości dodając swoje mruczenie. A my z Helen poczuliśmy ogromną ulgę - do tej pory bowiem, od czasu gdy nasz kot rozpoczął swoje wycieczki, dławił nas strach, że możemy go stracić. Teraz mieliśmy poczucie bezpieczeństwa.

Od tamtego wieczoru nasz zachwyt nad kocurem jeszcze wzrósł. Z nieustającą radością

obserwowaliśmy rozwój tej cechy jego charakteru. Skrupulatnie przestrzegał towarzyskiej kwerendy biorąc udział w większości wydarzeń w miasteczku. Stał się znaną postacią na turniejach wista, wyprzedających, szkolnych koncertach i skautowskich dobroczynnych bazarach. Przeważnie był mile witany gościem, jednakże dwukrotnie wyproszono go z posie-

44

OSKAK-K.LH IUWAKiisu

dzeń zarządu okręgowej rady, której najwidoczniej nie w smak było, żeby jakiś kot przysłuchiwał się jej deliberacjom.

Z początku niepokoiłem się tym, jak Oskar sobie radzi na ulicach, lecz parę razy zauważyłem, że ostrożnie rozgląda się na obie strony, nim zgrabnie przemknie na drugą stronę jezdni. Najwyraźniej miał doskonałe wyczucie ruchu ulicznego, toteż utwierdziłem się w przekonaniu, że jego obrażenia nie były spowodowane wypadkiem samochodowym.

Biorąc to wszystko pod uwagę, uznaliśmy z Helen, że Oskara sprowadził do nas jakiś pomyślny obrót fortuny. Stał się ciepłą i wypieszczoną częścią naszego rodzinnego życia. Jeszcze z wielokrotnością nasze szczęście.

•<?

• #

Cios padł znienacka.

Kończyłem właśnie przyjmować porannych pacjentów. Wyjrzałem za drzwi lecznicy i dostrzegłem jedynie mężczyznę, któremu towarzyszyło dwóch małych chłopców.

- Następny, proszę - powiedziałem.

Mężczyzna wstał. Nie miał żadnego zwierzaka. Był w średnim wieku, o czerstwej, wysmaganej wiatrem twarzy robotnika rolnego. Nerwowo miał czapkę w dłoniach.

- Pan Herriot? - upewnił się.

- Owszem, czym mogę panu służyć? Przełknął ślinę, spojrzał mi prosto w oczy.

- Myślę, że chyba ma pan mojego kota.

- Słucham?

- Jakiś czas temu straciłem kota. - Odchrząknął. - Kiedyś miesz-

45

jAMtS HEKKIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

kaliśmy w Missdon, ale potem dostałem robotę jako oracz u pana Horne'a w Wederly. To po tym, jak przenieśliśmy się do Wederly, kot wziął i zginął. Podejrzewam, że usiłował odnaleźć drogę do dawnego domu.

- Wederly? To po drugiej stronie Brawton... jakieś trzydzieści mil stąd.

- Aha, wiem, ale koty to dziwne stworzenia.

- Lecz skąd przyszło panu do głowy, że on jest u mnie? Jeszcze bardziej wykręcił czapkę.

- W Darrowby mieszka mój krewniak i od niego usłyszałem o jakimś kocurze, który uczestniczy w różnych spotkaniach. Więc przyjechałem. Szukaliśmy go wszędzie.

- Proszę mi opowiedzieć o kocie, którego straciliście. Jak wyglądał?

- Szaro-czarny, z odrobiną rudego. Dość przymilny. I zawsze wędrował na różne zgromadzenia.

Zamarło mi serce.

- Może wejdzie pan na górę. I zabierze ze sobą chłopców. Helen nakrywała do lunchu w naszym saloniku.

- Helen - odezwałem się. - To pan... hm... przepraszam... nie znam pańskiego nazwiska.

- Gibbons, Sep Gibbons. Ochrzcili mnie Septimus, gdyż w mojej rodzinie jako siódmy pojawiłem się na świecie, a wygląda na to, że i u nas będzie tak samo, gdyż dorobiliśmy się już szóstki. To dwóch najmłodszych. - Chłopcy, mniej więcej ośmioletni, najwyraźniej bliźniacy, poważnie się nam przyglądali.

Zaprzagnąłem, żeby serce przestało mi bić jak młot.

- Pan Gibbons sądzi, że Oskar należy do niego. Jakiś czas temu stracił kota.

46

OSKAR - KOT TOWARZYSKI

Żona odstawiała talerze.

- O... o... rozumiem. - Przez chwilę stała jak skamieniała, potem uśmiechnęła się blado. - Proszę usiąść. Oskar jest w kuchni. Zaraz go przyniosę.

Wyszła i pojawiła się znowu z kotem w ramionach. Nie przeszła jeszcze przez próg, gdy chłopcom wrócił głos.

- Tygrys! - zawołali. - Och, Tygrysek, Tygrysek!

Twarz mężczyzny zdawała się emanować wewnętrznym światłem. Szybko przemierzył pokój i wielką, spracowaną dłonią przesunął po futerku.

- Witaj, staruszkę - odezwał się. Obrócił się ku mnie z promiennym uśmiechem. - To on, panie Herriot. To na pewno on, i czy nie wygląda świetnie?

- Więc nazwaliście go Tygrys, tak? - upewniłem się.

- Aha - odparł radośnie. - To przez te rude paski. Dzieciaki go tak ochrzciły. Serca im się łamały, kiedy zginął.

Dwaj chłopcy turlali się po podłodze, Oskar wraz z nimi, w zabawie bił ich łapkami, mrucał z rozkoszy. Sep Gibbons ponownie usiadł.

- Tak zawsze robili u nas. Zwykli bawić się z nim godzinami. Był ich najukochańszym ulubieńcem.

Popatrzyłem na połamane paznokcie, zaciśnięte na daszku czapki, na szczerą, uczciwą, pocziwą twarz mieszkańca hrabstwa York, tak podobną do wielu tych, które polubiłem i nauczyłem się szanować. Robotnicy z farm, tacy jak on, w tamtych czasach zarabiali trzydzieści szylingów tygodniowo, co było widać po ich przetartych marynarkach, powykrzywianych, wypucowanych butach i rzucającej się w oczy dziecięcej pokorze.

47

Jednak ta trójka była wyszorowana do czysta i schludna, twarz mężczyzny przypominała rumiany bekon, kolana dzieciaków wprost lśniły czystością, a włosy mieli gładko zaczesane do tyłu.

Wydawali mi się sympatycznymi ludźmi.

Odwróciłem się do okna i ponad spadzistymi dachami spojrzałem na ukochane zielone wzgórza.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

To Helen mnie wyręczyła.

- No cóż, panie Gibbons - odezwała się sztucznie beztróskim tonem. - W takim razie lepiej będzie, jak pan go zabierze.

Mężczyzna zawahał się.

- Ale czy jest pani pewna, pani Herriot?

- Tak... tak, na pewno. To wasz kot.

- No, ale ludziska mówią, że ten, co znajduje, zatrzymuje, czy coś takiego. Nie przyjechałem tutaj, by go żądać albo się awanturować.

- Wiem, że nie, panie Gibbons, jednak mieszkał u pana tyle lat

48

OSKAR - KOT TOWARZYSKI

i tyle trudu włożył pan w jego odnalezienie. Nie moglibyśmy go panu nie oddać.

Szybko pokiwał głową.

- Hm, miło z waszej strony. - Urwał na chwilę, miał poważną minę, potem nachylił się i podniósł Oskara. - Musimy się już zwijać, jeśli chcemy złapać autobus o ósmej.

Helen sięgnęła w przód, ujęła w dłonie koci łebek i kilka sekund wpatrywała się w niego intensywnie. Potem poklepała chłopców po głowach.

- Będziecie się nim dobrze opiekować, prawda?

- Jasne, proszę pani, dzięki, będziemy - dwie małe buzie uniosły się ku niej z uśmiechem.

- Odprowadzę pana do drzwi, panie Gibbons - powiedziałem.

Gdy schodziliśmy, drapałem futrzany policzek, spoczywający na ramieniu mężczyzny, i po raz ostatni usłyszałem donośne mruczenie kocurka. Przy frontowych schodkach uścisnęliśmy sobie z panem Gibbonsem dłonie. Ojciec z synami ruszyli w dół ulicą. Kiedy skręcali za róg Trengate, przystanęli i pomachali mi, ja też im pomachałem, para dzieciaków i kocia główka spoglądały na mnie przez ramie.

W tamtych czasach miałem zwyczaj pokonywać schody biorąc po dwa, trzy stopnie, jednak teraz wlokłem się na górę niczym starzec, ledwie łapałem oddech, zaschło mi w gardle, piekły oczy. Przeklinałem się, że jestem sentymentalnym głupcem, jednak nim dotarłem do naszego mieszkania, ogarnęła mnie pewna pociecha. Helen zniosła to wszystko zadziwiająco dzielnie. Pielęgnowała tego kota, ogromnie się do niego przywiązała, sądziłem

49

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

więc, że taki grom z jasnego nieba potwornie ją załamie. Lecz nie, postąpiła spokojnie i mądrze. Nigdy nie można zrozumieć do końca kobiet, lecz teraz byłem jej wdzięczny.

Musiałem zatem zachować się podobnie. Zmusiłem się do pogodnego uśmiechu, kiedy przekraczałem próg.

Helen przysunęła krzesło do stołu. Siedziała przygarbiona, z twarzą przytuloną do blatu. Jednym ramieniem obejmowała głowę, drugie wyciągnęła przed siebie, jej ciałem wstrząsał niepohamowany szloch.

Pierwszy raz widziałem żonę w takim stanie, byłem wstrząśnięty. Usiłowałem powiedzieć coś pocieszającego, lecz nic do niej nie docierało przez rozpaczliwe łkanie.

Bezradny i niezdarny, mogłem tylko usiąść przy niej i głaskać japo włosach. Możliwe, że zdołałbym odnaleźć jakieś słowa, gdybym sam nie czuł się równie paskudnie.

Czas goi wszelkie rany. Przecież, powtarzaliśmy sobie, Oskar wcale nie umarł, nie zgubił się też powtórnie - po prostu odszedł do pocziwej rodziny, która dobrze się nim zajmie. Prawdę mówiąc, wrócił do domu.

Oczywiście, wciąż z nami był nasz ukochany Sam, chociaż w tych pierwszych dniach wcale nam nie pomagał. Węszył niepoczyszony w miejscu, w którym leżało posłanie Oskara, potem układał się na dywanie z przeciągłym, żalonym westchnieniem.

Zdarzyło się jeszcze coś. W mojej głowie zrodził się pewien pomysł, coś, co chciałbym zaproponować Helen, gdy nadejdzie

50

OSKAR - KOT TOWARZYSKI

właściwa pora. Jakiś miesiąc po tamtym straszliwym wieczorze wychodziliśmy z kina w Brawton. Zerknąłem na zegarek.

- Dopiero ósma - stwierdziłem. - Co powiesz na to, byśmy odwiedzili Oskara?

Helen spojrzała na mnie zdumiona.

- Myślisz... żeby pojechać do Wederly?

- Owszem, to tylko pięć mil stąd.

Na jej twarzy powoli wykwitł uśmiech.

- Byłoby cudownie. Jesteś jednak pewien, że nie będą mieć nam tego za złe?

- Gibbonsowie? Jestem przekonany, że nie. Jedziemy. Wederly było dużą wioską, a domek oracza znajdował się na

samym końcu, parę jardów za kaplicą metodystów. Pchnąłem furtkę do ogródka i ruszyliśmy ścieżką.

Na moje pukanie drzwi otworzyła nieduża, zaaferowana niewiasta. Wycierała dłonie pasiastym ręcznikiem.

- Pani Gibbons? - spytałem. - Tak, to ja.

- Nazywam się James Herriot... a to moja żona. Popatrzyła na mnie rozszerzonymi oczami, nic nie rozumiejąc.

Najwyraźniej moje nazwisko nic jej nie mówiło.

- Przez pewien czas wasz kot mieszkał u nas - dodałem. Nagle uśmiechnęła się szeroko i machnęła ku nam ręcznikiem.

- A, jasne, już sobie przypominam. Sep opowiadał mi o was. Wchodźcie, wchodźcie, proszę!

Wielka kuchnia, służąca jednocześnie za coś w rodzaju salonu, stanowiła jaskrawy przykład życia z sześcioro dziećmi za trzydzieści szylingów tygodniowo. Zdemolowane meble, pranie, roz-

51

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

wieszane na sznurach, osmolony piecyk gazowy i ogólnie panujący rozgardiasz.

Sep poderwał się ze swego miejsca przy kominku, odłożył gazetę, zdjął okulary w druczianych oprawkach i uściśnął nam dłonie.

Jego żona odwiesiła ręcznik.

- Proszę, jakże się cieszę, że was widzę. Za minutkę będzie herbata.

Roześmiała się i odciągnęła w kąt wiadro z błotnistą wodą.

- Właśnie prałam dresy do gry w piłkę nożną. Chłopaki wręczyły mi je akurat dzisiaj... jakbym nie miała nic innego do roboty.

Kiedy pospieszyła nastawić czajnik, rozejrzałem się ukradkiem, zauważyłem, że Helen też się rozgląda. Ale rozglądaliśmy się na próżno. Nigdzie nie było śladu kota. Chyba znowu nie uciekł? Z narastającym poczuciem rozczarowania stwierdziłem, że mój plan bezpowrotnie spalił na panewce. Dopiero kiedy podano i rozlano herbatę, odważyłem się poruszyć ten temat.

- Ajak... - zagadnąłem niepewnie. - Ajak... hm... miewa się Tygrys?

- Och, znakomicie - odpowiedziała żwawo mała niewiasta. Spojrzała na stojący na kominku zegar.

- Powinien lada chwila wrócić, wtedy go sami zobaczycie.

Gdy mówiła, Sep uniósł w górę palec.

- Aha, chyba już go słyszę.

Poszedł otworzyć drzwi. Do środka, jak zwykle wdzięcznie i majestatycznie, wkroczył Oskar.

Wystarczył mu jeden rzut oka na Helen i wskoczył jej na kolana. Z okrzykiem radości moja żona

OSKAR - KOT TOWARZYSKI

odstawiła filiżankę i zaczęła głośno przepiękne futerko, a kot ocierał się o jej rękę. W kuchni rozległo się znajome, donośne mruczenie.

- Poznał mnie - szepnęła Helen. - Poznał.

Sep kiwnął głową i uśmiechnął się.

- Jasne, że tak. Byliście dla niego tacy dobrzy. Nigdy was nie zapomni, my zresztą też, prawda, matka?

- Nie, nie zapomnimy, pani Herriot-potwierdziła jego żona, smarując masłem kawałek piernika. - Jesteśmy bardzo wdzięczni za to, co dla nas uczyniliście. Mam nadzieję, że będziecie do nas zaglądać, kiedy tylko będziecie w okolicy.

- Cóż, dziękujemy - odezwałem się. - Z największą radością...

często bywamy w Brawton.

Podszedłem i podrapałem Oskara pod bródką, potem znowu zagadnąłem panią Gibbons:

- A, nawiasem mówiąc, jest już po dziewiątej. Gdzie on się do tej pory podziewał?

Uniosła nóż do masła i zapatrzyła się w dal.

- Niechże się zastanowię. Dzisiaj jest czwartek, zgadza się? A, tak, to dzisiaj wieczorem odbywa się trening jogi.

53

3 Borys

i koci dom pani Bond

Zajmuję się kotami. W ten właśnie sposób przedstawiła się pani Bond podczas mojej pierwszej wizyty. Mocno uściśnęła mi dłoń i obronnym ruchem wysunęła brodę, jak gdyby rzuciła wyzwanie. Była potężną niewiastą o stanowczej twarzy, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, i majestatycznym wyglądem, toteż nigdy bym nie śmiał z nią dyskutować. Pokiwałem więc z powagą głową, z pełnym zrozumieniem i aprobatą, następnie pozwoliłem się zaprowadzić do środka.

Natychmiast pojąłem, co miała na myśli. Wielka kuchnia połączona z salonem okazała się całkowicie opanowana przez koty. Koty siedziały na sofach i krzesłach, zwieszając się w dół, okupowały szeregiem okienne parapety, a w samym środku tego wszystkiego nieduży pan Bond, blady, z wątym wąsikiem, tylko w koszuli, czytał gazetę.

Wkrótce miałem oswoić się z tą scenerią. Mrowie zwierzków to były niewątpliwie nie kastrowane kocury, gdyż powietrze przesycił trudny do pomylenia „zapach” - przenikliwy odór, który

55

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

zagłuszał nawet przyprawiające o mdłości opary, dobywające pięć z wielkich garów z jakąś nieokreśloną kocią karmą, bulgocącą na piecu. I nieodmiennie na miejscu był pan Bond, zawsze w samej koszuli - samotna, mała wysepka w morzu kotów.

Oczywiście już wcześniej słyszałem o Bondach. Londyńczy-cy, którzy z jakichś niejasnych powodów zdecydowali się na emeryturze przenieść do północnego Yorkshire. Ludzie powiadali, że mieli „nieco gotówki” i nabyli stare domostwo na obrzeżach Darrowby, gdzie zajmowali się tylko sobą- i kotami. Doszły mnie słuchy, że pani Bond zwykła przygarniać bezdomne koty i brać je do domu, jeśli tego chciały, a to usposobiło mnie do niej przychylnie, ponieważ z doświadczenia wiedziałem, iż te nieszczęsne stworzenia stawały się obiektem wszelkiego okrucieństwa i niegodziwości. Ludzie strzelali do kotów, ciskali w nie najrozmaitszymi przedmiotami, głodzili je, szczuli psami dla zabawy. Dobrze więc było wiedzieć, że znalazł się ktoś, kto staje po ich stronie. Moim pierwszym pacjentem okazał się koci wyrostek, przerażone, puszyste, biało-czarne stworzonko, skulone w kącie.

- To jeden z naszych wolnych kotów - zahuczała pani Bond.

- Wolnych?

- No tak. Te wszystkie, które pan tu widzi, to koty domowe. Pozostałe są naprawdę dzikie, które po prostu nie życzą sobie wchodzić do domu. Oczywiście je karmię, ale w domu zjawiają się wyłącznie wtedy, kiedy naprawdę im coś dolega.

- Rozumiem.

- Okropnie się namęczyłam, żeby go złapać. Niepokoją mnie

56

BORYS I KOCI DOM PANI BOND

jego oczy... porasta je coś jakby błona. Mam nadzieję, że zdoła mu pan jakoś pomóc. Atak przy okazji, wabi się George.

- George? Ach, tak, to dobrze. - Ostrożnie zbliżałem się do małego wyrostka, a powitały mnie wyciągnięte pazury i prychająca, rozdziawiona mordka. Został zagnany w róg pokoju, inaczej umknąłby z szybkością światła.

Badanie nastęrczało jednak pewne problemy. Zwróciłem się do pani Bond:

- Czy mogłaby mi pani dać jakieś prześcieradło? Może stare, takie, którego używa pani do prasowania? Zamierzam go nim owinać.

- Owinać go? - Pani Bond popatrzyła na mnie z powątpiewaniem, lecz zniknęła w przyległym pokoju i pojawiła się z podartym bawełnianym materiałem, który znakomicie się nadał.

Sprzątnąłem ze stołu zdumiewającą ilość kocich misek, książek o kotach, kocich medykamentów.

Potem rozpostarłem prześcieradło i znowu zbliżyłem się do pacjenta. W takiej sytuacji nie należy się spieszyć, zatem minęło z pięć minut podkradania się i „kici-kiciowania”, coraz bliżej podsuwałem rękę, aż wreszcie błyskawicznym ruchem chwyciłem George'a za kark. Kociak protestował wniebogłosy i na wszystkie strony wywijał łapkami. Przeniosłem go nad stół. Potem, wciąż mocno przytrzymując go za kark, posadziłem na prześcieradle i zacząłem owijać.

Tak należało zrobić, gdy miało się do czynienia z opornymi kociakami. Nie chcę się chwalić, ale byłem w tym całkiem niezły. Rzecz polegała na tym, by utworzyć schludny, ścisły rulonik, na wierzchu zostawiając jedynie tę część kota, którą należało się zająć. Mogła to być zraniona łapa albo ogon, w tym przypadku cho-

57

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

dziło o łebek. Przypuszczam, że wzbudziłem w pani Bond bezgraniczne zaufanie w chwili, w której ujrzała, jak szybko zawijam kota, aż widoczna została jedynie biało-czarna główka, wystająca z bawełnianego kokonu. Znaleźliśmy się z George'em twa-rzaw twarz, patrzyliśmy sobie prosto w oczy, a kociak nic nie mógł na to poradzić.

Jak już mówiłem, byłem dumny z tego małego osiągnięcia i nawet dzisiaj moi koledzy weterynarze często powtarzają: „Stary Herriot może nie bardzo radzi sobie z tym lub z owym, ale wielkie nieba, jak on potrafi owijać koty”.

Okazało się, że oczy George'a zarastała skórka. Coś takiego nigdy nie powinno się zdarzyć.

- To sparaliżowana trzecia powieka, pani Bond. Zwierzęta mają błonę, która opada na oko, by je chronić. Tutaj nie podniosła się, może dlatego że kot jest w nie najlepszej kondycji. Przypuszczam, że nabawił się kociej grypy, możliwe też, iż coś innego spowodowało jego osłabienie. Zaaplikuję mu zastrzyk z witamin, zostawię też trochę proszku, który należy dosypywać mu do jedzenia.

Uważam, że za dwa, trzy tygodnie wróci do formy.

Zastrzyk nie nastęczał najmniejszych trudności. George z furją, choć bezradnie, miotał się w swoim kokonie. Na tym zakończyła się moja pierwsza wizyta u pani Bond.

c Φ *&

Pierwsza z wielu. Między ową damą i mną natychmiast zawiązała się nić porozumienia, wzmocniona jeszcze tym, że byłem gotów na każde zawołanie poświęcić czas jej najrozmaitszym pod-

58

BORYS I KOCI DOM PANI BOND

opiecznym - czołgałem się na brzuchu pod drewnianymi belkami zabudowań, by złowić „wolne” koty, ściągałem je z drzew, bez końca tropiłem w zaroślach. Jednakże, z mojego punktu widzenia, czułem się pod wieloma względami sownie nagrodzony.

Weźmy na przykład różnorodność imion, jakie nadawała kotom. Wierna swoim londyńskim korzeniom, wiele kociaków ochrzciła na cześć członków ówczesnej niepokonanej drużyny Arsenалу. Mieliśmy więc Eddie'ego Hapgooda, Cliffa Bastina, Teda Dra-ke'a, Wilfa Coppinga, wszakże raz jeden omyliła się, gdyż Alex James z nieomylną regularnością trzy razy do roku wydawała na świat potomstwo.

W ten sposób wołała je do domu. Pierwszy raz przy tej czynności ujrzałem ją pogodnego letniego wieczoru. Dwa koty, które miałem obejrzeć, były gdzieś w ogrodzie, poszedłem zatem z panią Bond do kuchennych drzwi. Tam zatrzymała się, zaplotła dłonie na brzuchu, przymknęła oczy i zawołała miódopłynnym głosem:

- Bates, Bates, Bates, Ba-et-es. - Właściwie wyśpiewywała te słowa z pełną czci monotonią, oprócz rozkosznego, cichego i rytmicznego „Ba-et-es”. Potem, niczym primadonna, znowu wzięła głęboki oddech i zaczęła od nowa, wkładając w to całą duszę:

- Bates, Bates, Bates, Ba-et-es.

Okazało się to skuteczne, gdyż kot o imieniu Bates wybiegł truchcikiem z gęstwiny wawrzynu.

Został jeszcze jeden pacjent. Zaciekawiony, nie spuszczałem z pani Bond wzroku. Przyjęła tę samą pozę, wzięła oddech, przymknęła oczy, na jej twarzy pojawił się słodki półuśmieszek. Zaczęła od nowa:

- Siedem-razy-trzy, Siedem-razy-trzy, Siedem-razy-trzyyy. - Wyśpiewywała to na tę samą nutę co „Bates”, z tym samym słod-

59

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

kim zawodzeniem na końcu. Tym razem nie doczekała się równie szybkiej odpowiedzi, toteż kilkakrotnie musiała powtórzyć występ, a jej zawodzenie w wieczornej ciszy wywoływało ten sam wstrząsający rezultat jak głos muezina, wzywającego wiernych do modlitwy.

Wreszcie udało się i szary, pręgowany kot przepaszająco, ukradkiem zbliżał się w stronę domu.

- Pani Bond, tak przy okazji - spytałem, starając się mówić jak najbardziej obojętnym tonem. - Nie bardzo dosłyszałem imię tego ostatniego kota.

- Och, Siedem-razy-trzy? - Uśmiechnęła się do wspomnień. - No tak, to kochana kociczka. Widzi pan, po siedmiu rujach rodziła po trzy kocięta, uważam zatem, że trafnie dobrałam jej imię. Prawda?

- Och, tak, oczywiście. Znakomite imię, rzeczywiście znakomite.

60

BORYS I KOCI DOM PANI BOND

Kolejną rzeczą, która sprawiła, iż poczułem słabość do pani Bond, było to, że troszczyła się o moje bezpieczeństwo. Doceniałem to, tym bardziej że podobne traktowanie lekarzy przez właścicieli

zwierząt można było policzyć na palcach jednej ręki. Wspominałem trenera koni wyścigowych po tym, jak jeden z jego pupili wykopał mnie z boksu, i jak ten człowiek z niepokojem spieszył przekonać się, czy nic złego nie stało się końskiej pęcinnie. A także kruchą starszą damę, wleczoną przez zjeżonego, szczerzącego zę-biska owczarka alzackiego, która powtarzała:

- Proszę łagodnie się z nim obchodzić... mam nadzieję, że nie zrobi mu pan krzywdy... jest taki nerwowy.

Albo farmera, który po tym, jak, wyczerpany, pomyślnie odebrałem już poród od krowy - co prawdopodobnie kosztowało mnie dwa lata życia - mruknął posepnie:

- Mam wrażenie, że bardzo zmęczyłeś tę krowę, młodzieńcze. Pani Bond postępowała inaczej.

Zwykła witać mnie w progu

z ogromnymi rękawicami, mającymi ochronić moje ręce przed zadrapaniami, ja zaś nie posiadałem się ze szczęścia, iż ktoś dba o moje bezpieczeństwo. Stało się to częścią mojego życia: szedłem ogrodową ścieżką wśród nieprzeliczonej rzeszy skradających się dzikich stworzeń, będących kotami „wolnymi”, następnie przechodziłem ceremonialne wręczanie rękawic w progu. Potem wkraczałem w gęste powietrze kuchni, gdzie pośród masy futrzaków mikry pan Bond ze swoją gazetą był ledwie widoczny. Nigdy nie potrafiłem ocenić, jaki pan Bond ma stosunek do kotów - zacząłem sądzić, że prawie w ogóle się nie odzywa - jednakże odnosiłem wrażenie, że musiał się z nimi pogodzić, bo inaczej musiałby stąd wyemigrować.

61

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

Rękawice były niezwykle pomocne, a czasami okazywały się prawdziwą łaską boską. Jak w przypadku Borysa. Borys był wyjątkowo olbrzymi wśród społeczności kotów podwórkowych i moim betę noir nie tylko pod jednym względem. Nieodmiennie w cichości ducha wierzyłem, że uciekł z jakiegoś zoo. Nigdy dotąd nie spotkałem się z udomowionym kotem o tak gładkich, sprężystych mięśniach i tak okrutnie zawziętego. Byłem przekonany, że w żyłach Borysa płynie odrobina krwi pumy.

Dzień, w którym się pojawił, okazał się sądny dla kociej kolonii. Rzadko zdarzało mi się, że nie lubiłem jakiegoś zwierzęcia. Większość zwierząt, które próbują wyrządzić nam krzywdę, jest powodowana strachem. Jednakże Borys był inny. Zachowywał się niczym okrutny zbir, miał zwyczaj tłuc swoich kumpli, toteż od chwili jego przybycia moje wizyty stały się coraz częstsze. Bez końca zszywałem poszarpane uszy, opatrywałem pogryzione łapy.

Bardzo szybko mieliśmy okazję zmierzyć siły. Pani Bond poprosiła, bym dał mu lek na odrobaczenie. Zawczasu umieściłem małą tabletkę w szczypczykach. Nie miałem pojęcia, jakim cudem uda mi się utrzymać Borysa, lecz wepchnąłem go na stół i z prędkością światła kilkakrotnie owinąłem kokonem z mocnego materiału. Przez kilka sekund myślałem, że już go mam, kiedy wlepił we mnie wielkie, lśniące, pełne nienawiści ślepie. Jednak kiedy wepchnąłem szczypczyki z tabletką do jego mordki, wściekle zacisnął na nich zęby, ja zaś poczułem, jak pazury ze zdumiewającą siłą przedzierają się przez warstwy prześcieradła. Trwało to zaledwie parę chwil. Wystrzeliła długa łapa i zatopiła się w moim nadgarstku, puściłem jego kark, który mocno trzymałem, a Borys w okamgnieniu zagłębił zębiska w moim kciuku i zwał. Ja stałem ogłupiały, w krwawiącej dłoni trzymając pokruszoną tabletkę, i pa-

62

BORYS I KOCI DOM PANI BOND

trzyłem na poszarpane strzępy, będące niegdyś prześcieradłem do omotywania kotów. Od tamtej pory Borys nienawidził samego mojego widoku, a uczucie to w pełni odwzajemniałem.

Tak więc na tym pogodnym niebie pojawiło się parę chmurek. Dalej z przyjemnością odwiedzałem ten dom, a życie koilo rany, prócz tego, że współnicy nieustannie ze mnie drwili. Nie byli w stanie zrozumieć, dlaczego jestem gotów z ochotą poświęcać tyle czasu stadu kotów. Oczywiście, wszystko to znakomicie pasowało do ich nastawienia, gdyż Siegfried nie ufał ludziom trzymającym jakiegokolwiek zwierzęta w domu. Nie potrafił zrozumieć ich mentalności, a swoje poglądy wyluszczał każdemu, kto zechciał go słuchać. Sam, rzecz jasna, trzymał pięć psów i dwa koty. Psy, wszystkie co do jednego, podróżowały z nim wszędzie samochodem, do tego i psy, i koty

codziennie osobiście karmił - nie pozwoliłby się nikomu zastąpić. Wieczorami, kiedy siadywał w fotelu przed kominkiem, wszystkie siedem zwierzków kłębiło się u jego stóp. Po dziś dzień jest zajadłym przeciwnikiem domowych pupili, chociaż kolejne pokolenia machających psich ogonów niemal zasłaniają mu widoczność, kiedy siada za kierownicą hoduje równie liczne koty, ma kilka potężnych akwariów z tropikalnymi rybkami i parę węży.

Tristan tylko jeden raz zobaczył mnie w akcji u pani Bond. Wyjmowałem akurat długie kleszcze z szafki z instrumentami, kiedy wszedł do sali zabiegowej.

- Jakiś ciekawy przypadek, Jim? - zainteresował się.

63

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

- Nie, nic szczególnego. Jak zwykle, jadę do jednego z kotów pani Bond. Kostka utkwiała mi między zębami.

Młodzieniec przez chwilę przypatrywał mi się z namysłem.

- Chyba z tobą pojedę. Ostatnio nie miałem do czynienia z małymi zwierzkami.

Kiedy zajechaliśmy do ogrodu kociego domu, poczułem się dotkliwie zaambarasowany. Jedną z podstaw naszych znakomitych układów z panią Bond była ta, że czule odnosiłem się do jej podopiecznych. Nawet wobec najdzikszych i najostrzejszych zachowywałem się zawsze łagodnie, ze spokojem i troskliwością. Wcale nie udawałem, po prostu przychodziło mi to naturalnie. Jednakże nie zdołałem powściągnąć obaw, jak Tristan zareaguje na moje lekarskie podejście do kociaków.

Oczekująca w progu pani Bond w mgnieniu oka zorientowała się w sytuacji i podała drugą parę rękawic. Tristan, kiedy mu je wręczyła, popatrzył lekko zdumiony, lecz z właściwym sobie czarem podziękował damie. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy wszedł do kuchni, pociągnął nosem, wdychając zagęszczone powietrze, i obiegił wzrokiem niezliczoną masę futrzastych stworzeń, okupujących każdy niemal skrawek przestrzeni.

- Panie Herriot, przykro mi, ale ten kawałek kostki utkwiał między zębami Borysa - oznajmiła pani Bond.

- Borysa! - Poczulem skurcz żołądka. - Na miłość boską jak zdołamy go pochwycić?

- Och, okazałam się przebiegła - odparła. - Udało mi się zwabić go do kociego koszyka ulubionym smakołykiem.

Tristan położył dłoń na ustawionej na stole ogromnej wiklinowej klatce.

- Jest tutaj, prawda? - upewnił się obojętnym tonem. Odsunął

64

zatyckę i otworzył wieko. Przez jedną trzecią sekundy zwinięte w kłębek stworzenie i Tristan z napięciem patrzyli sobie w oczy, a potem zwinne, czarne ciało bezszelestnie wystrzeliło z koszyka tuż przy uchu młodzieńca i jak błyskawica znalazło się na szczycie wysokiego kredensu.

- Święci pańscy! - zawołał Tristan. - Do diabła, co to było?

- To - wyjaśniłem - był Borys. A teraz musimy go znowu sprowadzić na dół. - Wspiąłem się na krzesło, powoli wyciągnąłem

65

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

dłoń ku szafie i zacząłem „kici-kiciać” niezwykle przymilnym tonem.

Po jakiejś minucie Tristan najwyraźniej uznał, że wpadł na lepszy pomysł. Niespodziewanie skoczył i chwycił Borysa za ogon. Jednak tylko na sekundę, gdyż kot natychmiast się oswobodził, w szaleńczym pędzie okrążył kuchnię, pognał po szczycie szafek i komódek, odbił się od zasłon, zataczał koła niczym opętany jeździec śmierci.

Tristan ustawił się w strategicznym punkcie, a kiedy Borys go mijał, porwał się na niego zjedną z rękawic.

- Nie udało mi się zatrzymać tego piekielnego zwierzaka! - zawołał zmartwiony. - Ale oto znowu nadciąga... łap to, ty czarny diable! Cholera, nie mogę go przydybać!

Łagodne domowe kociaki, przerażone szczękiem talerzy, puszek i naczyń oraz okrzykami Tristana i tym, że wymachiwał ręką, same zaczęły biegać, strącając wszystko to, co Borysowi udało się

ominać. Hałas i zamieszanie dotarły nawet do pana Bonda, wszak tylko na chwilę, uniósł bowiem z przelotnym zdumieniem wzrok na kłębiące się zwierzaki i zaraz wrócił do swojej gazety.

Tristan, zaczerwieniony niczym myśliwy na tropie, naprawdę zaczął się bawić całą tą sytuacją. Skurczyłem się w sobie, kiedy krzyknął do mnie radośnie:

- Jim, nagoń go do mnie! W następnej rundzie złapię nicponia!

Nigdy nie udało się nam pochwycić Borysa. Musieliśmy pogodzić się z tym, że kość wyjdzie samoistnie. Owa wizyta weterynaryjna nie skończyła się sukcesem. Jednak Tristan, gdy wsiadaliśmy do samochodu, uśmiechnął się z zadowoleniem.

66

BORYS I KOCI DOM PANI BOND

- To było coś wspaniałego, Jim. Nie miałem bladego pojęcia, ile zabawy dostarczają ci te kociaki. Wszakże pani Bond, kiedy spotkaliśmy się ponownie, cierpko skomentowała całe wydarzenie:

- Panie Herriot - oświadczyła - mam nadzieję, że następnym razem nie przywiezie pan ze sobą tego młodego człowieka.

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

dłoń ku szafie i zacząłem „kici-kiciać” niezwykle przymilnym tonem.

Po jakiejś minucie Tristan najwyraźniej uznał, że wpadł na lepszy pomysł. Niespodziewanie skoczył i chwycił Borysa za ogon. Jednak tylko na sekundę, gdyż kot natychmiast się oswobodził, w szaleńczym pędzie okrążył kuchnię, pognął po szczycie szafek i komódek, odbił się od zasłon, zataczał koła niczym opętany jeździec śmierci.

Tristan ustawił się w strategicznym punkcie, a kiedy Borys go mijał, porwał się na niego zjedną z rękawic.

- Nie udało mi się zatrzymać tego piekielnego zwierzaka! -zawołał zmartwiony. - Ale oto znowu nadciąga... łap to, ty czarny diable! Cholera, nie mogę go przydybać!

Łagodne domowe kociaki, przerażone szczękiem talerzy, puszek i naczyń oraz okrzykami Tristana i tym, że wymachiwał ręką, same zaczęły biegać, strącając wszystko to, co Borysowi udało się ominąć. Hałas i zamieszanie dotarły nawet do pana Bonda, wszak tylko na chwilę, uniósł bowiem z przelotnym zdumieniem wzrok na kłębiące się zwierzaki i zaraz wrócił do swojej gazety.

Tristan, zaczerwieniony niczym myśliwy na tropie, naprawdę zaczął się bawić całą tą sytuacją. Skurczyłem się w sobie, kiedy krzyknął do mnie radośnie:

- Jim, nagoń go do mnie! W następnej rundzie złapię nicponia!

Nigdy nie udało się nam pochwycić Borysa. Musieliśmy pogodzić się z tym, że kość wyjdzie samoistnie. Owa wizyta weterynaryjna nie skończyła się sukcesem. Jednak Tristan, gdy wsiadaliśmy do samochodu, uśmiechnął się z zadowoleniem.

66

BORYS I KOCI DOM PANI BOND

- To było coś wspaniałego, Jim. Nie miałem bladego pojęcia, ile zabawy dostarczają ci te kociaki. Wszakże pani Bond, kiedy spotkaliśmy się ponownie, cierpko skomentowała całe wydarzenie:

- Panie Herriot - oświadczyła - mam nadzieję, że następnym razem nie przywiezie pan ze sobą tego młodego człowieka.

4

OllyiGinny-

kociaki, które nas wybrały

Jim, spójrz tylko! To pewnie bezdomny kot. Nigdy tutaj go nie widziałam. - Helen stała przy zlewie w kuchni, zmywała właśnie naczynia, kiedy wskazała na coś przez okno.

Nasz nowy dom w Hannerly wzniesiono na zboczu wzgórze. Otaczał go murek sięgający akurat piersi, na poziomie okna, za nim trawiasty stok wiódł ku zaroślom i oddalanej o jakieś dwadzieścia jardów otwartej przestrzeni. Z krzaków ostrożnie wyglądała chuda kotka. Koło niej kuliły się dwa maleństwa.

- Chyba masz rację - powiedziałem. - Bezdomna kocica z rodziną szuka pożywienia.

Helen wystawiła na murek miseczkę z okrawkami mięsa i mlekiem i wycofała się do kuchni. Kocia matka przez kilka minut ani drgnęła, potem, zachowując najwyższą ostrożność, podkrađła się,

chwyciła parę kęsów w pyszczek i zaniósła je dzieciom.

Kilkakrotnie skradała się z boczem, jednak gdy małe usiłowały podążyć jej śladem, błyskawicznym kuksańcem łapki nakazywała im trzymać się z daleka.

69

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

Zafascynowani, obserwowaliśmy, jak wynędzniałe, na wpół zagłodzone stworzenie pilnuje, by jej małe dobrze się najadły, nim samo uszczknie cokolwiek z miski. Potem, kiedy jedzenie skończyło się, po cichutku otworzyliśmy kuchenne drzwi. Jednak kiedy kotka i jej młode zobaczyły nas, umknęły czym prędzej na pole.

- Ciekawe, skąd tutaj się wzięły - odezwała się Helen. Wzruszyłem ramionami.

- Bóg jeden wie. Naokoło jest mnóstwo otwartej przestrzeni. Mogły pokonać wiele mil. A kocica nie wygląda na zwykłą przybłądę. Raczej na naprawdę dziką kotkę.

Helen kiwnęła potakująco głową.

- Owszem, nie wydaje się, by kiedykolwiek mieszkała w domu i miała do czynienia z ludźmi. Słyszałam o dzikich kotach żyjących na wolności. Może przybyła tutaj w poszukiwaniu jedzenia dla swoich kociaków.

- Zdaje się, masz rację - stwierdziłem, wracając do kuchni. - Tak czy owak, tym biedactwom należała się porządna strawa. Nie sądzę, byśmy kiedykolwiek jeszcze je zobaczyli.

Mylilem się. Dwa dni później owa trójka zjawiała się ponownie. W tym samym miejscu, ukradkiem wyzierając zza krzaków, głodnym wzrokiem spoglądała w stronę okna. Helen ponownie dała im jeść, a kocia matka stanowczo wzbraniała dzieciom wyjścia poza krzaki. Im bardziej usiłowaliśmy się do nich zbliżyć, tym szybciej zmykały. Gdy pojawiły się nazajutrz rano, Helen zwróciła się do mnie z uśmiechem:

70

OLLY I GINNY - KOCIAKI, KTÓRE NAS WYBRAŁY

- Mam wrażenie, że nas zaadoptowały.

Miała rację. Cała trójka zadomowiła się w drewnutni, a po kilku dniach matka pozwoliła kociętom podejść do misek z jedzeniem, cały czas nie spuszczać z potomstwa oka. Małeństwa wciąż były niewielkie, mogły liczyć sobie najwyżej parę tygodni. Jedno było biało-czarne, drugie szylkretowe. Helen karmiła koty już dwa tygodnie, jednakże wciąż nie pozwalały, by się do nich zbliżyć. Potem, któregoś ranka, kiedy wybierałem się na wizyty, żona zawołała mnie do kuchni.

Pokazała coś za oknem.

-1 co na to powiesz?

Wyjrzałem i zobaczyłem dwa kociaki na swoim zwykłym miejscu pod krzakami, jednak nigdzie nie było widać matki.

- Dziwne - stwierdziłem. - Dotąd nie spuszczała z nich oka. Kocięta dostały swoje jedzenie. Kiedy odbiegły, usiłowałem je wysledzić, ale w wysokiej trawie straciłem je z oczu i mimo że przeszukałem całe pole, nie trafiłem ani na ślad malców, ani ich matki. Nigdy więcej nie zobaczyliśmy kocicy. Helen była ogromnie zmartwiona.

- Na miłość boską, co mogło się z nią stać? - mruknęła kilka dni później, gdy rano kocięta pałaszowały karmę.

- Wszystko - odparłem. - Obawiam się, że wśród bezdomnych kotów śmiertelność jest bardzo wysoka. Mógł ją przejechać samochód, może przydarzył się jej jakiś inny wypadek. Boję się, że nigdy się tego nie dowiemy.

Helen ponownie zerknęła na małe stworzonka, przykucnięte obok siebie, z łebkami w misce.

71

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

-Nie sądzisz, że po prostu porzuciła?

- Cóż, to możliwe. Była troskliwą i opiekuńczą matką, mam więc wrażenie, że rozglądała się po okolicy, aż znalazła im dobrą posadkę. Nie opuściła ich, dopóki nie upewniła się, że same sobie poradzą i może wtedy wróciła do swojego życia na wolności. Była naprawdę dzika.

Pozostało to dla nas tajemnicą, jedno wszak było pewne: kociaki zainstalowały się u nas na dobre. I jeszcze jedno stało się jasne: nigdy nie będą udomowione. Mimo że bardzo się staraliśmy, nie udawało się nam ich dotknąć, a wszelkie wysiłki, by zwabić je do domu, kończyły się fiaskiem. Pewnego dżdżystego ranka wyglądaliśmy z Helen przez kuchenne okno na dwójkę kociaków, siedzących na murku i czekających na śniadanie. Futerka miały przemoczone, oczy przymrużyły od deszczu.

- Biedne maleństwa - powiedziała Helen. - Nie mogę znieść, że siedzą tam na deszczu i zimnie. Musimy sprowadzić je do domu.

- Jakim cudem? Już tyle razy usiłowaliśmy to zrobić.

- Och, wiem, ale spróbujmy jeszcze ten jeden raz. Może spodoba się im, że znajdą schronienie przed deszczem.

Sporządziliśmy papkę ze świeżych ryb, ogromny koci przysmak. Podsunałem im miseczkę do powąchania, głodne, szalenie się nią zainteresowały, następnie postawiłem ją tuż za kuchennymi drzwiami-

72

OLLY I GINNY - KOCIAKI, KTÓRE NAS WYBRAŁY

mi i zniknąłem im z oczu. Kiedy obserwowaliśmy kociaki przez okno, widzieliśmy, że tkwią nieruchomo w ulewie, wzrok mają wbity w rybę, jednak uparcie nie chcą przekroczyć progu. Było to ze wszech miar niepojęte.

- No dobra, wasza wygrana - oznajmiłem, stawiając miszkę na murku. Zawartość jej została pochłonięta w mgnieniu oka.

Wpatrywałem się w nie w poczuciu klęski, kiedy zza rogu wynurzył się Herbert Platt, nasz miejscowy śmieciarz. Na jego widok kociaki umknęły, a Herbert parsknął śmiechem.

- A więc to wy zajęliście się tymi kociakami. Fajnie, że dostają zarcie.

- Owszem, ale nie chcą wejść do domu. Ponownie się roześmiał.

- Pewnie, nigdy tego nie zrobią. Od lat znam tę kocią rodzinę i wszystkich jej przodków.

Widziałem kocicę, jak pierwszy raz tu przyszła, przedtem kręciła się koło starej pani Caley na wzgórzu, pamiętam też jej matkę z farmy Billy'ego Tate'a. Od wieków spotykam te kociska.

- Naprawdę?

- Jasne, ale nigdy nie widziałem, by któreś z nich zamieszkało w domu. Są dzikie, naprawdę dzikie.

- Hm, dziękuję, Herbercie, to wiele wyjaśnia. Uśmiechnął się i dźwignął pojemnik na śmieci.

- Zabieram się już, więc będą mogły dokończyć śniadanko.

- No i widzisz, tak sprawy się mają - zwróciłem się do Helen. - Teraz już wszystko wiemy. One na zawsze będą na dworze, jednak możemy spróbować przynajmniej poprawić warunki ich bytowania. Zakątek, który nazywaliśmy drewnią i gdzie wcześniej posłałem kociakom siano, przeczył swej nazwie. Choć miał daszek,

73

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

był z jednej strony otwarty, a pozostałe boki zbudowano z luźno położonych bali. Pozwalał na swobodny przepływ powietrza i znakomicie nadawał się do suszenia polan, jednak z powodu przeciągów nie bardzo kwalifikował się do zamieszkania.

Teraz umieściłem tam większą wiązkę siana i ustawiłem deskę jako osłonę przed wiatrem. Potem zbudowałem wokół siana zaporę z pniaków, aż wreszcie, sapiąc jak lokomotywa, mogłem się wyprostować.

- W porządku - stwierdziłem. - Teraz będzie tu całkiem przytulnie.

Helen skinęła zgodnie głową, chociaż miała lepszy pomysł. Za wiatrołapem ustawiła miękko wysłane pudło.

- Nie muszą już więcej sypiać na sianie. W tym pudełku będzie im miło i zacisznie.

Zatarłem dłonie.

- Świetnie. Zatem nie musimy się o nie martwić przy złej pogodzie. Pewno z radością się tutaj zagnieżdżą.

Od tej chwili kociaki zbojkotowały szopę. Dalej codziennie pojawiały się na karmienie, jednak

nigdy nie widziałem ich nawet w pobliżu dawnego schronienia.

- Pewnie jeszcze do niego nie przywykły - orzekła Helen.

- Hm. - Ponownie spojrzałem na wysłane poduchami pudło, ustawione między balami. - Albo chodziło o to, albo wcale im się tutaj nie podoba.

Przez kilka dni nie demontowaliśmy tego wynalazku i cały czas zachodziliśmy w głowę, gdzie kociaki śpią. Wreszcie nasz wynalazek zaczął się sypać. Poszedłem więc rozebrać zaporę z pni. I wte-

74

OLLY I GINNY - KOCIAKI, KTÓRE NAS WYBRAŁY

dy natychmiast oba kociaki wróciły. Obwąchały i obejrzały pudło i znowu zniknęły.

- Obawiam się, że twoje pudło również się im nie spodobało -mruknąłem, kiedy staliśmy w naszym punkcie obserwacyjnym.

Helen popatrzyła zraniona.

- Głuptasy. Doskonale się dla nich nadawało.

Jednak minęły dwa kolejne dni, a szopa stała pusta. Helen zajrzała tam, potem zobaczyłem, jak ze smutną miną wraca z boczem, w ręce trzymając pudło, a pod pachą poduchy.

Nie minęło parę godzin, a kociaki wróciły, z wyraźną ulgą rozglądając się po drewnitni.

Najwyraźniej nie przeszkadzały im przeciągi i uszczęśliwione umościły się na sianie. Nasze wysiłki, by stworzyć im kociego „Hiltona”, okazały się daremne.

Olśniło mnie, że nie potrafią znieść zamknięcia, wszystkiego, co odcinałoby im drogę ucieczki.

Leżąc na sianie, mogły rozglądać się, a przy najmniejszej oznace zagrożenia uciec przez szpary w belkach.

t

75

Bk

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

- W porządku, przyjaciele - powiedziałem - będzie tak, jak chcecie, zamierzam jednak dowiedzieć się o was czegoś więcej.

Helen podsunęła im wyjątkowo smakowity posiłek i kiedy skupiły się całkowicie na jedzeniu, zakradłem się i zarzuciłem na nie siatkę na ryby. Po chwili zmagania mogłem stwierdzić, że szylkretowy kociak to samiczka, czarno-biały zaś to samczyk.

- Świetnie - ucieszyła się Helen. - Nazwiemy je Olly i Ginny.

- Dlaczego Olly?

- A bo ja wiem. Wygląda na 011 y'ego. Podoba mi się to imię.

- Aha, a Ginny?

- Zdrobnienie od Ginger, rudej.

- Ależ ona nie jest ruda, tylko szylkretowa.

- Ma jednak rude włoski. Nie spierałem się.

W ciągu następnych miesięcy kociaki urosły jak na drożdżach, toteż jako lekarz weterynarii podjąłem rozsądną, stanowczą decyzję. Należy je wytrzebić. I wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z problemem, który miał mnie dręczyć przez lata -jak przeprowadzić konieczny zabieg weterynaryjny na zwierzętach, które nie dają się nawet dotknąć.

Tym pierwszym razem, gdy były jeszcze wyrostkami, sprawa nie przedstawiała się tak źle. Znowu chwyciłem je w siatkę, kiedy jadły, zdołałem je wepchnąć do kocięj klatki, z której spoglądały na mnie wzrokiem przerażonym i, jak mi się wydawało, oskarżycielskim.

W lecznicy, kiedy wraz z Siegfredem wyjęliśmy jedno po drugim z klatki i zaaplikowaliśmy im dożylną narkozę, zdumiałem się tym, że chociaż kocięta były ogromnie przerażone, gdyż po raz pierwszy w życiu znalazły się w zamkniętej przestrzeni,

76

OLLY I GINNY - KOCIAKI, KTÓRE NAS WYBRAŁY

pochwycone i unieruchomione przez istotę ludzką, wyjątkowo łatwo dawałem sobie z nimi radę.

Wiele z naszych domowych kocich pacjentów zaciekle walczyło, nim wreszcie udało się nam je

uśpić, a koty, używając jako broni zębów i pazurów, mogły wyrządzić dotkliwą krzywdę. Jednakże Olly i Ginny, mimo iż broniły się jak oszalałe, nie próbowały nawet ugryźć, nie wysunęły też pazurków.

Siegfried podsumował to krótko:

- Te maluchy są sztywne ze strachu, ale przy tym całkowicie łagodne. Ciekawe, ile dzikich kotów zachowałyby się w ten sposób.

Przeprowadzając operację i spoglądając na małe, pogrążone w narkozie futrzaki, czułem się nieco dziwnie. Były to moje koty, a przecież po raz pierwszy mogłem ich dotknąć, dokładnie je obejrzeć, nacieszyć się urodą ich sierści i ubarwienia.

Kiedy wybudziły się z narkozy, zabrałem je do domu, a gdy wypuściłem z klatki, czmychnęły do swojego domu w drewnitni. Jak zwykle w przypadku takich drobnych zabiegów, nie było żadnych komplikacji, jednak moja osoba najwyraźniej kojarzyła się malcom ze złymi wspomnieniami. W ciągu następných kilku tygodni koty podchodziły blisko Helen, gdy je karmiła, natomiast na mój widok błyskawicznie brały nogi za pas. Wszelkie próby pochwylenia Ginny, by zdjęć jej szew z brzucha, okazały się daremne. Szew został na zawsze, ja zaś uprzytomniłem sobie, że Herriota uznano za grubianina, czarny charakter, który chwyci cię i wepchnie do drucianej klatki, jeśli tylko dać mu po temu okazję.

Wkrótce stało się jasne, że taki stan rzeczy utrzyma się dłużej,

77

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

gdyż mijały miesiące, Helen podsuwała zwierzacom najbardziej wyszukane kąski, więc wyrosły na piękne, sprężyste koty. Kiedy moja żona pojawiała się w kuchennych drzwiach, wyginały w łuk grzbiety na murku, natomiast gdy ja ośmieliłem się tylko wysunąć nos zza drzwi, umykały co tchu. Byłem facetem, którego za wszelką cenę należało unikać, a to mnie dotkliwie bolało, gdyż zawsze lubiłem koty, a do tej dwójki szczególnie się przywiązałem. Wreszcie nadszedł dzień, w którym Helen mogła już delikatnie pogłaskać, gdy jadły, a na ten widok poczułem jeszcze większe przygnębienie.

Zazwyczaj koty sypiały w drewnitni, jednak od czasu do czasu na kilka dni znikwały w jakimś sobie tylko wiadomym miejscu, my zaś nieodmiennie zastanawialiśmy się, czy nas przypadkiem nie opuściły lub czy nie przydarzyło się im coś złego. Kiedy się pojawiały, Helen wołała do mnie z ogromną ulgą w głosie:

- Jim, wróciły, wróciły!

Kociaki stały się częścią naszego życia.

Lato przeszło w jesień, a kiedy nastala ostra zima, typowa dla hrabstwa York, uzalaliśmy się nad ich ciężką dolą. Czuliśmy się fatalnie, obserwując je z naszej ciepłej kuchni, jak siedziały na mrozie i śniegu, jednak bez względu na to, jak okropna była pogoda, nic nie mogło nakłonić kotów do przestąpienia progu domu. Ciepło i wygoda wcale do nich nie przemawiały.

Kiedy była dobra pogoda, przypatrując się im, mieliśmy mnóstwo uciechy. Z kuchni mogliśmy zaglądać do szopy i zafascyno-

78

wani podziwialiśmy ich szczęśliwy związek. Były takie zaprzyjaźnione. Wciąż nierozłączne, całe godziny spędzały na wzajemnym myciu się lub kotłowaniu się w zabawie. Nigdy też nie odpychały jedno drugiego od miski. Wieczorami spoglądaliśmy na dwa futrzane kłębki, przytulone do siebie na sianie.

Nastąpiła wszak taka chwila, w której myśleliśmy już, że wszystko się zmieni na zawsze. Koty wyprawiły się na jedną ze swoich wycieczek, mijał dzień za dniem, a my stawaliśmy się coraz bardziej niespokojni. Helen każdy ranek zaczynała od nawoływania: „Olly, Ginny!”, co dotąd powodowało, że nasza dwójka truchci-

79

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

kiem przybiegała ze swoich wędrówek. Teraz jednak nie pojawiały się. Po tygodniu, potem po dwóch niemal straciliśmy nadzieję.

Gdy wróciliśmy do domu, spędziwszy popołudnie w Brawton, Helen pobiegła do kuchni i wyjrzała przez okno. Koty znały nasze zwyczaje i zawsze siedziały na murku, czekając na nią, teraz jednak murek i drewnutnia stały opustoszałe.

- Jim, czy myślisz, że opuściły nas na dobre? - spytała. Wzruszyłem ramionami.

- Chyba na to wygląda. Przypominasz sobie, co stary Herbert opowiadał o tej kociej rodzinie? Może mają naturę koczowniców... przeniosły się na inne pastwisko.

Helen zrobiła płaczliwą minę.

- Nie mogę w to uwierzyć. Wydawało się, że są tutaj takie szczęśliwe. Och, mam nadzieję, że nie przytrafiło się im nic strasznego.

Posępnie zaczęła wypakowywać sprawunki, milczała przez cały wieczór. Moje wysiłki, by ją rozweselić, okazały się daremne, sam bowiem byłem straszliwie przygnębiony.

Ku swojemu zdumieniu, nazajutrz z samego rana usłyszałem

OLLY I GINNY - KOCIAKI, KTÓRE NAS WYBRAŁY

zwykły okrzyk Helen. Tym razem jednak nie było w nim radości.

Wbiegła do salonu.

- Jim, one wróciły - oznajmiła bez tchu - ale chyba zdychają! (o? Co ty mówisz?

Och, wyglądają okropnie! Są śmiertelnie chore... jestem pewna, że umierają!

Pospieszyłem wraz z nią do kuchni i wyjrzałem przez okno. Koty siedziały przytulone do siebie na murku, zaledwie o parę stóp od nas. Miały paskudnie zaropiałe, ledwie otwarte oczy, z nozdrzy sączyła się wydzielina, ślina ciekła z pyszczków. Ciałkami wstrząsało nieustanne kichanie i kaszel. Były wychudzone i brudne, z trudem dało się w nich rozpoznać nasze znajome, wspaniałe stworzenia. Ich wygląd sprawiał tym żałośniej szy widok, że wystawione były na ostre podmuchy wschodniego wiatru, który przenikał przez sierść, a wszelkie próby otwarcia ślepi były jeszcze bardziej bolesne.

Helen otworzyła kuchenne drzwi.

- Olly, Ginny, co wam się stało? - zawołała łagodnym głosem. Stał się cud. Na dźwięk jej głosu koty ostrożnie zeskoczyły

z murku i bez wahania pomaszerowały do kuchni. Wtedy po raz pierwszy znalazły się pod naszym dachem.

- Popatrz tylko! - wykrzyknęła Helen. - Własnym oczom nie wierzę. Muszą naprawdę być chore. Ale co im dolega, Jim? Czy zostały otrute?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, złapały koci katar.

81

8*

1

i Г i д; e-

S' V ^ S' s

§ ,3 2" d

f

8

1 | ^ ? . ^ s Pr ? ^ o y? 3- % i, * a-

7^ P-! i- | £

o e jo ?

< Ы P N

o>

££

% l'

".«.

7Г «

Sil S%% P- " _ « £• ^ Q <■* «■

€, p' ^0

I

fr i-i i! 11 li* Hi lii **

iHi^I'^H* «^f p°

cr^ P-

o •2.

o

1

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

- Możesz to stwierdzić?

- Owszem, objawy są klasyczne.

- Czy one umrą? Potarłem brodę.

- Nie sądzę. - Chciałem, aby zabrzmiało to przekonywująco, jednak sam miałem wątpliwości. Koci virus rhinoracheitis nie powodował dużej śmiertelności, jednak w ciężkich przypadkach mógł doprowadzić do zejścia, a te koty były naprawdę w złym stanie. - Tak czy owak, Helen, zamknij drzwi, ja zaś zobaczę, czy uda mi się je zbadać.

Jednak na widok zamykających się drzwi, koty jak z procy wystrzeliły na dwór.

- Otwórz je znowu - zawołałem.

Kociaki, po chwili wahania, znowu wmaszerowały do kuchni. Przyglądałem się im zdumiony.

- Dasz wiarę? One nie przyszły tutaj, by się schronić, one przyszły po pomoc!

Nie ulegało to najmniejszej wątpliwości. Siedziały przytulone do siebie i oczekiwały, że pospieszymy im na ratunek.

- Problem polega na tym - ciągnąłem - czy pozwolą swojemu betę noire zbliżyć się do siebie? Może lepiej nie zamykajmy drzwi, żeby czuły się mniej zagrożone.

Krok za krokiem podchodziłem do nich, aż wreszcie mogłem położyć na nich dłoń. Koty ani drgnęły. Miałem wrażenie, że śnię, gdy podnosiłem jedno za drugim, bezwładne i nie stawiające oporu, i poddałem je badaniu.

Helen pieściła koty, kiedy wybiegłem do samochodu, gdzie trzy-

82

OLLY I GINNY - KOCIAKI, KTÓRE NAS WYBRAŁY

małem walizeczkę z lekarstwami, i przyniosłem to, czego potrzebowałem. Zmierzyłem im temperaturę, u obu skoczyła powyżej 40 stopni, co było typowym objawem. Potem wstrzyknąłem im oxytetracyklinę, moim zdaniem, najlepszy antybiotyk zwalczający wtórną bakteryjną infekcję, która następuje po pierwotnym wirusowym zakażeniu. Zaaplikowałem także witaminy, wacikiem usunąłem ropę i wydzielinę z oczu i nozdrzy, zastosowałem maść z antybiotykiem. I cały czas nie mogłem wyjść ze zdumienia, że podnosiłem i badałem te ustępliwe ciała, podczas gdy wcześniej nie mogłem ich nawet tknąć, oprócz chwili, w której leżały pod narkozą podczas kastracji.

Kiedy skończyłem, nie potrafiłem znieść myśli o wystawieniu ich znowu na mroźną wichurę.

- Helen - odezwałem się - spróbujmy raz jeszcze. Czy możesz cichutko zamknąć drzwi?

Delikatnie ujęła gałkę i bardzo powoli zaczęła je przymykać, ale wtedy koty niczym sprężyny wyrwały się z moich objęć i pry-snęły do ogrodu. Patrzyliśmy za nimi, jak znikają spoza zasięgu naszego wzroku.

- Hm, zdumiewające - stwierdziłem. - Tak bardzo są chore, a jednak nie tolerują zamknięcia.

Helen była na krawędzi płaczu.

- Ale jak sobie poradzą na dworze? Powinny przebywać w cieple. Nie wiem, czy zechcą z nami zostać, czy znowu uciekną?

- Ja też tego nie wiem. - Popatrzyłem na opustoszały ogródek. - Musimy jednak zdać sobie sprawę, że to jest ich naturalne środowisko. To twarde zwierzaki. Przypuszczam, że wrócą.

83

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

Nie omyliłem się. Nazajutrz siedziały za oknem, oczy miały przymknięte przed podmuchami

wiatru, sierść na pyszczkach nastroszoną i przesączoną wydzielinami.

Helen znowu otworzyła drzwi, a one ponownie spokojnie weszły do środka, bez oporu poddały się moim oględzinom, zaaplikowałem im zastrzyki, przemyłem oczy i nosy, przejrzałem pyszczki, czy nie pojawiło się owrzodzenie, ponosiłem je na rękach, jak każde inne zadomowione u nas od dawna stworzenie.

Trwało to cały tydzień. Wydzielina stała się bardziej obfita, rozdzierające kichanie wzmoгло się. I wtedy, kiedy traciłem już nadzieję, zaczęły trochę jeść i - co bardziej znaczące - przestały tak chętnie wchodzić do domu.

Pogoda jeszcze się pogorszyła, płatki śniegu wirowały na wietrze, jednak nadszedł dzień, w którym kociaki odmówiły wejścia do kuchni, toteż tylko przez okno przypatrywaliśmy się, jak jedzą.

Miałem jednak satysfakcję, bo wiedziałem, że wciąż dostają pełną dawkę antybiotyków.

Kiedy stosowałem to zdalne leczenie, codziennie obserwując z kuchennego okna kociaki, z zadowoleniem widziałem, że kichanie ustępowało, wydzielina przestawała płynąć, zwierzątka zaś coraz bardziej nabierały ciała.

Φ f^

Wstał rześki, słoneczny marcowy poranek, przyglądałem się, jak Helen stawia na murze śniadanie dla kotów. Olly i Ginny,

84

OLLY I GINNY - KOCIAKI, KTÓRE NAS WYBRAŁY

w świetnej jak przedtem formie, o czystych i suchych pyszczkach, o przejrzystych oczach, prężąc grzbiety i mruczając donośnie jak motorki, pojawiły się na swoim miejscu. Nie spieszyły się do miski, wyraźnie cieszyły się obecnością Helen.

Kiedy krążyły w tę i z powrotem, czule głaskała je po pyszczkach i grzbietach. Takie właśnie pieszczoty lubiły - niezbyt nachalne, nie krępujące ich ruchów.

Poczułem, że powinienem włączyć się do akcji, więc wyszedłem za próg.

- Ginny - zagadnąłem, wyciągając rękę. - Ginny, chodź do mnie. Stworzonko zaniechało przechadzki po murze i spojrzało na

mnie z bezpiecznej odległości, bynajmniej nie wrogo, lecz z całą dawną ostrożnością. Kiedy usiłowałem podejść bliżej, Ginny odskakiwała, żebym nie mógł jej dosięgnąć.

- No dobrze - odezwałem się. - Nie przypuszczam, że z tobą poszłoby mi lepiej, Olly.

Biało-czarny kot umknął spoza zasięgu mojej wyciągniętej ręki i zmierzył mnie dyplomatycznym spojrzeniem. Wiedziałem, że się ze mną zgadza.

Nieruchomy niczym słupek soli, zawołałem do naszej parki:

- Hej, pamiętacie mnie?

W ich spojrzeniach bez trudu można było wyczytać, że świetnie mnie pamiętają - ale nie tak, jak miałem nadzieję. Poczułem dotkliwe ukłucie frustracji. Mimo wszelkich wysiłków wróciliśmy do punktu wyjścia.

Helen roześmiała się.

- Zabawna parka, czyż nie wyglądają cudownie! To okazy zdrowia, są jak nowo narodzone.

Doprawdy, świeże powietrze czyni cuda.

- Rzeczywiście - zgodziłem się z kwaśnym uśmiechem. - Jednak domowy weterynarz ma także niejaki zasługi.

85

5

Emilia

i dżentelmen, który przemierzył cały świat

Pewnego ranka, kiedy wysiadłem z samochodu, by otworzyć bramę, prowadzącą na jedną z farm, na skraju pastwiska natknąłem się na dziwne siedlisko. Stało w zaciszu kamiennego muru, frontem zwrócone ku dolinie. Wyglądało na coś sporządzonego z brezentu, naciągniętego na konstrukcję z metalowych prętów, a wszystko to tworzyło jakby namiot. Przypominało wielkie, czarne igloo, ale co to było?

Kiedy się tak zastanawiałem, uchyliła się poła brezentu u wejścia i pojawił się wysoki, siwobrody

mężczyzna. Przeciągnął się, rozejrzał dokoła, otrzepał sfatygowany surdut i nałożył melonik z szerokim rondem, modny w czasach wiktoriańskich. Najwyraźniej nieświadom mojej obecności, głęboko oddychając, spoglądał na porośnięte wrzosem zbocze, ciągnące się od drogi po płynący w dole strumyk. Potem, po kilku chwilach, odwrócił się ku mnie i z całą galanterią uniósł kapelusz.

- Dzień dobry panu - mruknął głosem, który równie dobrze pasowałby do arcybiskupa.

- Dzień dobry - odpowiedziałem, tłumiąc zdumienie. - Śliczny dzień.

87

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

Jego szlachetne rysy rozjaśnił uśmiech.

- Tak, tak, rzeczywiście. - Następnie pochylił się i rozsunął poły namiotu. - Emilio, chodź tutaj. Patrzyłem, jak mała kotka wynurzyła się zaspianym krokiem, przeciągnęła się leniwie, kiedy mężczyzna przypinał do jej obróżki linkę. Nieznajomy odwrócił się ku mnie i znowu uniósł melonik.

- Życzę panu dobrego dnia.

Potem mężczyzna i kot ruszyli niespiesznie w kierunku wioski, której kościelna wieża była widoczna kilka mil dalej wzdłuż drogi.

Musiało upłynąć trochę czasu, nim wreszcie otworzyłem bramę - nie potrafiłem oderwać wzroku od oddalającej się pary. Znalazłem się poza swoim rewirem, gdyż wierny klient, Eddy Car-less, nabył farmę dwadzieścia mil od Darrowby i uczynił nam ten zaszczyt, że poprosił, byśmy dalej opiekowali się jego zwierzętami. Oczywiście, zgodziliśmy się, choć taka daleka wyprawa nie była zbyt dogodna, zwłaszcza w środku nocy.

Farmę od drogi dzieliły dwa pola. Zajeżdżałem na podwórko, gdy ujrzałem Eddy'ego zbiegającego po schodkach spichlerza.

- Eddy! - zawołałem. - Zobaczyłem coś przedziwnego. Parsknął śmiechem.

- Nie musisz nic mówić. Widziałeś Eugene'a.

- Eugene'a?

- Zgadza się. Eugene'a Iresona. Mieszka tutaj.

- Co takiego?

- Mówię prawdę... tam jest jego dom. Wybudował go dwa lata temu i tutaj zamieszkał. Ta farma, jak pewnie wiesz, należała nie-

88

EMILIA I DŻENTELMEN, KTÓRY PRZEMIERZYŁ CAŁY ŚWIAT

gdyś do jego dziadka. Eugene wiele mi o nim opowiadał. Przybył znikąd i zamieszkał w tej śmiesznej budowli wraz z kotem, i tak zostało.

- Nie pomyślałbym, że może osiedlić się na skraju pastwiska.

- Ja także nie, jednak, zdaje się, nikomu to nie przeszkadza. Opowiem ci jeszcze coś zabawnego. On przemierzył cały świat, koczował w dzikich krajach, przeżył wszelkie możliwe przygody, ale gdziekolwiek zawędrował, zawsze wracał do północnego Yorkshire.

- Dlaczego jednak zamieszkał w tak dziwnym namiocie?

- To jest zagadka. Wygląda na to, że jest szczęśliwy i zadowolony ze swojego lokum. Tato ogromnie go lubił, więc ten gość zawsze mógł liczyć na farmie na wikt i opierunek. Mimo to wciąż był niezależnym duchem. Nigdy w nikogo nie wczepiał się niczym pijawka. Chodzi tylko regularnie do wioski po jedzenie i zasilek.

- Zawsze z kotem?

- No - Eddy znowu parsknął śmiechem. - Zawsze z kotem. Badając chorą krowę, która była celem mojej wizyty, nie mogłem opędzić się od myśli o tamtej przedziwnej parze.

Kiedy trzy dni później zajechałem na tę samą farmę, pan Ireson siedział w słońcu na wiklinowym fotelu. Czytał, a kot wylegiwał się na jego kolanach.

89

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

Gdy wysiadłem z samochodu, Eugene, jak przedtem, uniósł melonik.

- Dzień dobry. Śliczny dzionek.

- Tak, rzeczywiście.

Kiedy się odezwałem, Emilia zeskoczyła z kolan i przemaszerowała ku mnie przez trawę, a kiedy podrapałem ją za uchem, wygięła grzbiet i mrucząc, ocierała się o moje nogi.

- Co za rozkoszne stworzonko! - zawołałem.

Gesty wiekowego mężczyzny stały się jeszcze bardziej dworne.

- Pan lubi koty?

- Owszem. Zawsze je lubiłem. - Znowu głaskałem kocicę, potem żartobliwie pociągnąłem ją za ogon, śliczna bura mordka podniosła się ku mnie, a mruczenie przeszło w crescendo.

- Hm, Emilia nadzwyczajnie pana potraktowała. Nigdy nie widziałem, żeby była taka wylewna. Roześmiałem się.

- Ona wie, co czuję. Koty zawsze wiedzą... to bardzo mądre zwierzęta.

Pan Ireson rozpromienił się.

- Chyba widziałem tutaj pana któregoś dnia, prawda? Ma pan jakieś interesy z panem Carlessem?

- Tak, jestem jego weterynarzem.

- Aha... rozumiem. Więc pan jest lekarzem weterynarii i spodobała się panu moja Emilia.

- Nie mogłoby być inaczej. Jest przepiękna. Stary mężczyzna wyraźnie puchł z zadowolenia.

- Jak to miło z pańskiej strony. - Zawahał się. - Zastanawiam się, panie... hm...

«• 90

EMILIA I DŻENTELMEN, KTÓRY PRZEMIERZYŁ CAŁY ŚWIAT

- Herriot.

- A, tak. Zastanawiam się, panie Herriot, czy, kiedy załatwi już pan swoje obowiązki wobec Carlessa, nie zajrzyłby pan do mnie na filiżankę herbaty.

- Z największą rozkoszą. Skończę za niecałą godzinę.

- Cudownie, cudownie. Będę więc pana wyczekiwał. Krowa Eddy'ego miała się już zupełnie dobrze, więc niebawem

szedłem z powrotem wiejską drogą. Pan Ireson czekał na mnie przy bramie.

- Jest trochę za chłodno - stwierdził - sądzę zatem, że lepiej wejść do środka. - Poprowadził mnie do szalasu, odsunął płachtę i ze staroświecką galanterią zaprosił do wnętrza.

- Proszę usiąść - mruknął, wskazując mi coś, co wyglądało na stare skórzane siedzenie samochodowe, sam zaś zajął wiekowe wyplatane krzesło, które wcześniej widziałem na dworze. Ustawił dwa kubki, a potem zdjął czajnik z prymusa i zaczął nalewać herbatę, ja zaś tymczasem rozejrzałem się po pomieszczeniu. Stało tam łóżko polowe, obok wypchany plecak, była także półka z książkami, lampka nocna, niski kredens i koszyk, w którym Emilia zwinęła się w kłębek.

- Mleko, cukier, panie Herriot? - Starszy pan wdzięcznie przechylił głowę. - Aha, bez cukru. Mam parę bułeczek, proszę się poczęstować. W wiosce jest wyśmienita piekarnia, a ja należę do jej stałych klientów.

Kiedy ugryzłem kęs bułeczki i sączyłem herbatę, ukradkiem przejrzałem grzbiety książek. Sama poezja. Blake, Swinburne, Longfellow, Whitman, każdy tom sfatygowany i wystrzępiony od czytania.

- Lubi pan poezję? - spytałem.

91

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

Uśmiechnął się.

- O, tak. Czytuję też inne rzeczy... co tydzień zajeżdża tutaj furgonetka z biblioteki publicznej... jednak zawsze wracam do starych przyjaciół, zwłaszcza do tego. - Wziął tomik o oślich uszach, który wcześniej czytał. Poematy Roberta W. Service'a.

- Jego szczególnie pan lubi, prawda?

- Owszem, Service jest chyba moim ulubionym poetą. Może nie jest to poezja klasyczna, jednak niektóre wiersze głęboko do mnie przemawiają. - Zerknął na książkę, potem zapatrzył się gdzieś daleko, poza mnie, w miejsce sobie tylko znane. Byłem ciekaw, czy w swoich wędrówkach

przemierzał Alaskę i dzikie pustacie Jukonu i przez chwilę miałem nadzieję, że może opowie mi coś o swojej przeszłości, on jednak nie kwapił się do poruszenia tego tematu. Chciał natomiast porozmawiać o swoim kocie.

- Stało się coś zdumiewającego, panie Herriot. Całe życie przeżyłem na własny rachunek, ale nigdy nie czułem się samotny, teraz jednak, gdy pojawiła się Emilia, zdałem sobie sprawę, że w rzeczywistości byłem straszliwie sam. Nie uważa pan, że brzmi to idiotycznie?

- Absolutnie nie. Przypuszczam, że nigdy dotąd nie miał pan własnego zwierzaka. Bo chyba się nie mylę?

- Zgadza się, nie. Nigdzie dostatecznie długo nie zagrzałem miejsca. Bardzo lubię zwierzaki, niekiedy zastanawiałem się, czy nie wziąć psa, ale przecież nie kota. Wielokrotnie słyszałem, że koty nie okazują uczuć, że są egoistyczne i właściwie nigdy naprawdę się do nikogo nie przywiązują. Czy pan zgadza się z tą opinią?

- Oczywiście, że nie. To kompletna bzdura. Koty mają niezależny charakter, miałem jednak do czynienia z setkami przyjaciół-

92

EMILIA I DŻENTELMEN, KTÓRY PRZEMIERZYŁ CAŁY ŚWIAŁ

skich, czułych kotów, które dla swoich właścicieli są wiernymi przyjaciółmi.

- Cieszę się, że pan to mówi, gdyż pochlebiam sobie, iż to stworzonko jest szczerze do mnie przywiązane. - Popatrzył na Emilię, która wskoczyła mu na kolana, delikatnie pogłaskał ją po łebku.

- Trudno tego nie zauważyć - stwierdziłem, a starszy pan uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Wie pan, panie Herriot - mówił dalej - kiedy po raz pierwszy tutaj osiadłem - okrągłym gestem ręki wskazał swoje siedlisko, jak gdyby był to salon w wielopokojowej posiadłości - nie widziałem powodu, by nie kontynuować samotnego życia, do którego przywykłem, jednak któregoś dnia to stworzonko pojawiło się znikąd, zupełnie jakbym je zaprosił, i cała moja egzystencja uległa zmianie.

Parsknąłem śmiechem.

- Zaadoptowała pana. Koty mają ten zwyczaj. A ów dzień okazał się dla pana szczęśliwy.

- Tak, tak, szczerą prawdą. Pan zdaje się świetnie rozumieć te sprawy, panie Herriot. Pozwoli pan, że doleję mu herbaty.

Była to pierwsza z licznych wizyt u pana Iresona w jego siedlisku. Nigdy nie zajeżdżałem na farmę Carlessa, by nie zajrzeć za brezentową płachtę, a jeśli Eugene był w domu, to zostawałem na herbacie i ucinaliśmy sobie pogawędkę. Rozmawialiśmy o wielu sprawach - o książkach, polityce, przyrodzie, o której miał ogromną wiedzę, jednak pogawędka nasza nieodmiennie kończyła się kocim tematem. Eugene chciał dowiedzieć się wszystkiego o ich pielęgnowaniu, karmieniu, zwyczajach i chorobach. Podczas gdy ja z napięciem oczekiwałem opowieści o jego wędrówkach po świecie, a napomykał o nich jedynie bardzo mgliście, on z szero-

93

IIII^III|^M

ko rozwartymi oczami dziecka wsłuchiwał się w moje relacje z praktyki weterynaryjnej.

Właśnie podczas któregoś z tych posiedzeń zacząłem się bardziej dociekliwie wypytywać o Emilię.

- Zauważyłem, że albo jest tutaj, albo wędruje na smyczy z panem, jednak czy nigdy nie wypuszcza się gdzieś samopas?

- Hm, owszem... skoro już pan o tym wspomniał. Ostatnio to

94

EMILIA I DŻENTELMEN, KTÓRY PRZEMIERZYŁ CAŁY ŚWIAT

jej się zdarza. Wędruje na farmę... upewniłem się, że nie zapuszcza się na drogę, gdzie coś mogłoby ją przejechać.

- Nie o to mi chodziło, panie Ireson. Myślałem o tym, że na farmie jest wiele kocich samców. I kotka z łatwością może zająć w ciążę.

Jak rażony piorunem wyprostował się na krześle.

- Wielkie nieba, to niewykluczone! Nigdy mi to nie przyszło do głowy... jakież ze mnie głupiec. Lepiej będzie zamykać jąw domu.

- To niezwykle trudne zadanie - powiedziałem. - O wiele rozsądniej byłoby jąwysterylizować. Wtedy byłaby bezpieczna... przecież nie poradziłby pan sobie tutaj z gromadką kociąt, prawda?

- Nie... nie... oczywiście nie. Jednak operacja... - Wlepił we mnie przerażone oczy. - Istnieje wszak pewne ryzyko?...

- Ależ skąd - odpowiedziałem tak dziarsko, jak tylko potrafiłem. - To całkiem prosty zabieg. Wykonujemy ich dziesiątki.

Zniknęło gdzieś jego dotychczasowe światowe obycie. Od samego początku zaimponował mi jako człowiek, który już tyle widział w życiu, że nic nie potrafi wytrącić go z równowagi, jednak teraz zdawało się, iż skurczył się w sobie. Powoli pogłaskał drobną kotkę, okupującą jak zwykle jego kolana. Potem sięgnął po oprawiony w czarną skórę tom Dzieł Szekspira o wyblakłych złoconych tłoczeniach, który czytał właśnie w chwili, gdy się pojawiłem. Zaznaczył miejsce w książce i zamknął ją, nim pieczołowicie odstawił na półkę.

- Sam nie wiem, co powiedzieć, panie Herriot. Uśmiechem dodałem mu otuchy.

- Nie ma powodów do niepokoju. Stanowczo doradzam sterylizację. Jeżeli pozwoli pan, bym opisał, jak przebiega zabieg, na pewno pozbędzie się pan wszelkich obaw. Naprawdę, to drobnny

95

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

zabieg... robimy małe nacięcie, wycinamy jajniki i macicę, przewiązujemy...

Pospieszenie urwałem, gdyż starszy pan przymknął powieki i osunął się na bok, tak że obawiałem się, iż spadnie z krzesła. Nie po raz pierwszy zdarzyło mi się osiągnąć takie niepożądane efekty, kiedy drobiazgowo wyjaśniałem tajniki zabiegów chirurgicznych, toteż zmieniłem taktykę.

Roześmiałem się w głos i poklepałem Eugene'a po kolanie.

- Sam więc pan widzi, to nic takiego. Otworzył oczy i niepewnie odetchnął głęboko.

- Tak... tak... niewątpliwie ma pan rację. Jednak muszę mieć więcej czasu do namysłu. Spadło to na mnie tak nagle.

Byłbym zdziwiony, gdyby te słowa nie padły z ust starszego pana. Sam pomysł wyraźnie go przerażał. Spotkaliśmy się dopiero po miesiącu.

Wsunąłem głowę za zasłonę. Eugene siedział na swoim zwykłym miejscu, obierał ziemniaki, zmierzył mnie poważnym spojrzeniem.

- O, pan Herriot. Proszę wejść i usiąść. Właśnie zamierzałem skontaktować się z panem... cieszę się, że sam pan zajrzał. - Stanowczym ruchem uniósł głowę. - Postanowiłem pójść za pańską radą co do Emilii. Może pan przeprowadzić zabieg, kiedy tylko uzna pan to za stosowne. - Powiedział to jednak drżącym głosem.

- Och, wspaniale! - zawołałem radośnie. - Przypadkiem mam w samochodzie koszyk dla kotów, więc mogę już dziś ją zabrać.

Usiłowałem nie patrzeć na jego posepnąminę, gdy kocica wskoczyła mi na kolana.

- No cóż, Emilio, jedziesz ze mną. - Potem, kiedy bliżej przyjrzałem się drobnemu zwierzęciu, zawahałem się. Poniosła mnie

96

EMILIA I DŻENTELMEN, KTÓRY PRZEMIERZYŁ CAŁY ŚWIAT

wyobrażnia czy też jej brzuch naprawdę powiększył się z powodu ciąży?

- Chwileczkę - mruknąłem, badając palcami wątłe ciało. A potem spojrzałem w oczy starszemu panu. - Przykro mi, panie Ireson, ale jest trochę za późno. Ona już jest kotna.

Rozdziawił szeroko usta, ale nic nie powiedział, potem przełknął ślinę i odezwał się ochryplym szeptem:

- A...a co możemy na to zaradzić?

- Nic, nic, proszę się nie martwić. Urodzi kocięta, to nic wielkiego, a ja znajdę dla nich dom.

Wszystko się dobrze ułoży. -Wspiąłem się na szczyty swoich aktorskich możliwości, nie na wiele wszak to się zdało.

- Panie Herriot, nie bardzo wyznaję się na tych sprawach. Jednak ogromnie się denerwuję. Ona może umrzeć w położu... jest taka drobna!

- Ależ nie... nie! Kotki rzadko miewają kłopoty, wydając potomstwo na świat. Proszę pana o jedno. Kiedy zacznie rodzić... co prawdopodobnie stanie się za jakiś miesiąc... niech Eddy do mnie zadzwoni. Przyjadę natychmiast i sprawdzę, czy wszystko przebiega bez komplikacji. Co pan na to?

- Och, jest pan nadzwyczaj uprzejmy. Czuję się tak niezręcznie. Problem polega na tym... że ona tak wiele dla mnie znaczy.

- Wiem, i proszę się więcej nie zamartwiać. Wszystko pójdzie gładko. Wpiliśmy razem herbatę, a kiedy się żegnaliśmy, Eugene się nieco uspokoił.

97

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

Wreszcie którejś burzowej nocy w słuchawce odezwał się głos starego przyjaciela.

- Panie Herriot, dzwonię z farmy. Emilia nie powiła jeszcze małych, ale jest... jest tak strasznie rozdęta, cały dzień leży i drży, nie chce nic jeść. Przykro mi, że niepokoję pana o tak późnej porze, ale nic a nic nie wyznaję się na tych sprawach, a kotka... ona wygląda na bardzo nieszczęśliwą. Nie spodobał mi się ton jego głosu, jednak starałem się mówić obojętnie:

- Sądzę, że zajadę do pana i spojrzę na nią panie Ireson.

- Naprawdę? Zechce pan?

- Oczywiście. Proszę się nie martwić. Zaraz tam będę. Kiedy czterdzieści minut później wygramoliłem się w ciemność

i rozsunałem poły szafasu, trafiłem na niesamowitą prawie odrealnioną scenę. Wiatr i deszcz szarpały brezentowymi ściankami, a w migocącym świetle naftowej lampy ujrzałem Eugene'a, siedział na swoim krześle i głaskał Emilię leżącą w koszyku u jego boku.

Mała kotka była rozdęta do granic niemożliwości - tak straszliwie, że prawie nie można jej było rozpoznać, a kiedy przyklęknąłem i przesunałem dłonią po wydętym brzuchu, poczułem napiętą skórę. Emilia aż pękała od kociąt, jednak zdawała się tracić siły, była kompletnie wyczerpana.

Spojrzałem w oczy starszego pana.

- Panie Ireson, czy ma pan gorącą wodę?

- Tak, owszem, czajnik stoi na ogniu.

Namydliłem mały palec. Tylko nim mogłem wniknąć w maleńką pochwę. Zorientowałem się, że szyjka macicy jest rozwarta, a za nią ledwie można było wyczuć jakieś ciało. Bóg jeden wie-

98

EMILIA I DŻENTELMEN, KTÓRY PRZEMIERZYŁ CAŁY ŚWIAT

dział, ile tam było kociaków, jedno wszak nie ulegało wątpliwości: nigdy nie zdołają się w naturalny sposób wydostać na świat. Emilia zwróciła ku mnie pyszczek i zrozpaczona słabo miauknęła. Stało się dla mnie jasne, że kotka może umrzeć.

- Panie Ireson - odezwałem się. - Muszę ją natychmiast stąd zabrać.

- Wywieźć? - szepnął, nie dowierzając własnym uszom.

- Zgadza się. Trzeba zrobić cesarskie cięcie. Kociaki nie wydostaną się na świat w naturalny sposób.

Wyprostowany na krześle, skinął potakująco głową. Był wstrząśnięty, moje słowa ledwie do niego docierały. Chwyciłem koszyk, Emilię i wybiegłem w ciemności. Po chwili, gdy uprzytomniłem sobie, że starszy pan patrzył na mnie błędnym wzrokiem, zdałem sobie sprawę, iż kompletnie zapomniałem o swoich dobrych manierach. Wsunąłem głowę za brezent.

- Niech pan będzie spokojny! - zawołałem. - Wszystko będzie w porządku.

„Niech pan będzie spokojny!” Odważne słowa. Kiedy umieściłem Emilię na tylnym siedzeniu i odjeżdżałem, zdawałem sobie sprawę, że daleko mi do zachowania spokoju, przeklinałem siebie samego za to, iż sprowokowałem zły los, twierdząc beztrąsko, że kotki bez trudu wydają świat potomstwo. A ten przypadek mógł skończyć się tragicznie. Od jak dawna Emilia leżała w takim stanie? Pęknięcie macicy? Posocznica? Przez głowę przebiegały mi jak najgorsze diagnozy. I dlaczego coś takiego przytrafiło się właśnie temu starszemu panu?

Zatrzymałem się przy wiejskim sklepiku i zadzwoniłem do Sieg-frieda.

- Właśnie wyjechałem od Eugene'a Iresona. Może wpadniesz

99

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

i mi pomożesz? Cesarskie cięcie u kotki, ciężki przypadek. Przypuszczam, że zakłócam ci nocny wypoczynek.

- Ależ skąd, James. Wcale mi nie przeszkadasz. Zaraz się zobaczymy.

Kiedy wszedłem do lecznicy, Siegfried już włożył narzędzia chirurgiczne do sterylizatora i wszystko było gotowe.

- To twoja działka, James - mruknął. - Ja zajmę się narkozą. Wygoliłem pole do operacji i zagłębiłem skalpel w straszliwie wydętym brzuchu. Gwizdnąłem cicho.

- Wielkie nieba, to przypomina operację ropnia!

Właśnie tak to wyglądało. Miałem wrażenie, że kiedy przetnę błonę, masa kociaków eksploduje mi w twarz, i rzeczywiście, gdy wyjątkowo ostrożnie nacinałem skórę, napięta macica niepokojąco się wyduła.

- Do diabła! - z trudem złapałem oddech. - Ile ich tam jest?

- Od czorta i trochę! - odpowiedział mój współnik. - A to taka drobniutka kotka.

Z największą ostrożnością naciąłem otrzewną która, ku mojej uldze, wydawała się czysta i zdrowa, a potem, zagłębiając się dalej, czekałem, aż ukaże się skłębiona masa maleńkich łebków i łapek. Jednakże z narastającym zdumieniem patrzyłem, jak skalpel dociera do potężnego, smolistego jak węgiel karku, a kiedy wreszcie podsunąłem palec pod szyjkę, wyjąłem kociaka i położyłem go na stole, zorientowałem się, że macica jest już pusta.

- Tylko jedno! - wykrztusiłem. - Dasz wiarę? Siegfried parsknął śmiechem.

- Jasne, ale co to za gigant! I żyje. - Uniósł stworzonko i przyjrzał mu się bliżej. - Olbrzymi, wspaniały kocurek... wzrostem prawie dorównuje matce!

100

EMILIA I DŻENTELMEN, KTÓRY PRZEMIERZYŁ CAŁY ŚWIAT

Kiedy założyłem szwy i zaaplikowałem uspięonej Emilii zastrzyk z penicyliny, uszczęśliwiony czułem, jak falami odpływa ze mnie napięcie. Kocie niemowlę było w dobrej kondycji. Moje obawy okazały się bezpodstawne. Najlepiej będzie zostawić malca kilka tygodni przy matce, a potem spróbuję znaleźć mu dobrą posadkę.

- Dzięki, że przyjechałeś, Siegfried - odezwałem się. - Z początku wydawało się, że to paskudny przypadek.

Nie mogłem się doczekać, kiedy wrócę do starszego pana, który - wiedziałem to dobrze - wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku, wywołanego tym, że zabrałem od niego ukochaną kotkę. Rzeczywiście, gdy przekroczyłem brezentowe drzwi, wydawało się, że od chwili, w której go pożegnałem, nie ruszył się nawet odrobinę. Nie czytał, trwał nieruchomo i tylko ze swojego krzesła wpatrywał się w dal.

Kiedy postawiłem przy nim koszyk, odwrócił się powoli i spojrzał z nadzieją na Emilię, która wybudzała się z narkozy i zaczynała podnosić główkę, natomiast czarny przybysz już zaczął interesować się, jak trafić do sutka.

- Nic jej nie będzie - stwierdziłem, a starszy pan powoli kiwnął głową.

- Cudownie. Po prostu cudownie - wyszeptał.

Kiedy po dziesięciu dniach przyjechałem zdjąć szwy, w szafasie trafiłem na karnawałową atmosferę. Stary Eugene nie posiadał się ze szczęścia, Emilia zaś, wyciągnięta na boku ze swoim potężnym dzieckiem pracowicie ssącym mleko, spojrzała na mnie z tak dumną miną że zakrawało to niemal na kołtuństwo.

10!

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

- Sądzę, że powinniśmy wypić uroczystą herbatę i zjeść do tego moje ulubione bułeczki - powiedział starszy pan.

Kiedy w czajniku gotowała się woda, przesunął palcem po ciałku kociaka.

- Świetny z niego gość, prawda?

- Oczywiście. Wyrośnie na wspaniałego kocura.

Eugene uśmiechnął się.

- Jasne, jestem tego pewny. Miło mi będzie trzymać go tutaj razem z Emilią.

Nim wziąłem podsuwaną mi bułeczkę, zawahałem się przez moment.

- Chwileczkę, panie Ireson. Nie da pan sobie rady z dwoma kotami.

- A to dlaczego?

- Cóż, prawie codziennie prowadzi pan Emilię na smyczy do wioski. Z dwoma kotami miałby pan w drodze kłopoty, a poza tym, chyba nie ma tu miejsca dla parki?

Ponieważ nic nie odpowiedział, dalej drażyłem tę sprawę:

- Któregoś dnia pewna pani spytała mnie, czy nie mógłbym znaleźć dla niej czarnego kociaka.

Wiele osób szuka takich, a nie innych stworzeń, często dlatego, że pragną, by zastąpiły niedawno zmarłego ulubieńca. Przeważnie mamy niejaki kłopoty z zaspokojeniem ich wymagań, ale tym razem z radością powiadomiłem ją, że trafił się kociak dokładnie taki, jakiego chce wziąć.

Eugene niespiesznie pokiwał głową, analizował moje słowa, wreszcie powiedział:

- Zdaje się, że ma pan rację, panie Herriot. Najwyraźniej niezbyt dobrze przemyślałem całą sprawę.

102

EMILIA I DŻENTELMEN, KTÓRY PRZEMIERZYŁ CAŁY ŚWIAT

- Owa dama - mówiłem dalej - jest bardzo sympatyczna i naprawdę lubi koty. Ten mały trafi do bardzo dobrego domu. Swoją panią będzie rządził, jak zechce.

Eugene roześmiał się.

- Świetnie... świetnie, a czy będę mógł tam od czasu do czasu zajrzeć?

- Oczywiście. Będę regularnie dostarczał panu wiadomości. - Zorientowałem się, że gładko poradziłem sobie z tym trudnym problemem, więc popijając herbatę stwierdziłem, że powinienem zmienić temat: - Muszę powiedzieć, panie Ireson, że jest pan wyjątkowo szczęśliwym człowiekiem. Zadowolonym z życia. Może ma to coś wspólnego z Emilią.

- Szczera prawda! Prawdę mówiąc, sam chciałem to powiedzieć, ale obawiałem się, że uzna mnie pan za niespełna rozumu. - Przechylił w tył głowę i roześmiał się. Szczęśliwym, chłopięcym śmiechem. - Owszem, mam Emilię, a to najważniejsze! Cieszę się, że pan się ze mną zgadza.

Bardzo proszę, może jeszcze jedną bułeczkę?

V

OLLYI GINNY-

osiedliny

Irytowało mnie, że własne koty nie mogą znieść mojego widoku. Ginny i Olly stały się już częścią naszej rodziny. Przywiązaliśmy się do nich, a kiedykolwiek zdarzał się dzień, że mieliśmy wychodne, pierwszą rzeczą, jaką Helen robiła po powrocie, było otwieranie kuchennych drzwi i karmienie kociaków. Stworzonka świetnie o tym wiedziały i albo siedziały na murku, czekając na nią, albo pospiesznie pędziły z drewnutni, która stała się ich domem.

Wróciliśmy z półdniowej wyprawy do Brawton. Koty, jak zwykle, czekały, gdy Helen wystawiała im miski zjedzeniem i mlekiem na murek.

- Olly, Ginny - przemawiała cicho, głaszcząc je po futrzanych grzbietach. Dawno minęły czasy, kiedy nie pozwalały się dotykać. Teraz rozkosznie ocierały się ojej dłonie, wyginając karki i mruczając, Helen zaś, kiedy jadły, nie przestawała ich pieścić. Były to takie łagodne, małe stworzonka, swoją dzikość demonstrowały jedynie wtedy, gdy były przestraszone, teraz wszak nie miały się czego obawiać. Dzieciaki, moje i z wioski, wkradły się w ich łaski, pozwalały się im pogłaskać, lecz Herriota wciąż traktowały nieufnie.

105

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

Na przykład teraz, kiedy spokojnie poszedłem za Helen, kierując się w stronę murku. Natychmiast porzuciły miski i uciekły na bezpieczną odległość, wciąż przeżyły grzbiety, lecz jak zwykle trzymały się poza zasięgiem mojej ręki. Przypatrywały mi się bez wrogości, jednakże kiedy wyciągałem dłoń, odskakiwały jeszcze dalej.

- Spójrz tylko na tych małych żebraków! - zawołałem. - One wciąż nie życzą sobie mieć ze mną do czynienia.

Sytuacja ta w dalszym ciągu mnie przygnębiała, gdyż podczas wieloletniej praktyki lekarskiej koty zawsze mnie intrygowały i przekonałem się, że słabość do nich ułatwiała mi ich leczenie. Miałem wrażenie, że radzę sobie z nimi lepiej od większości ludzi, gdyż je lubię, a one to wyczuwają. Byłem dumny z mojego

106

OLLYI GINNY - OSIEDLINY

podejścia do nich, czegoś w rodzaju swoistego kociego zachowania. Nie ulegało więc wątpliwości, że cały ten gatunek darzę wyjątkową sympatią, a on odwzajemnia mi się podobnym uczuciem.

Prawdę mówiąc, aby wszystko zostało powiedziane, uważałem się za kaciego tatę. Wszakże w przypadku tej pary - dwójki, do której byłem szczególnie przywiązany - było inaczej.

Dreńczy mnie to, myślałem, przecież leczyłem je i najprawdopodobniej ocaliłem im życie, kiedy złapały kocią grypę. Zastanawiałem się, czy to pamiętają, ale jeśli tak, to dlaczego wciąż nie miałem prawa dotknąć ich nawet palcem. Rzeczywiście, najwyraźniej utkwilo im w pamięci tylko jedno: to, że je złapałem w siatkę, wepchnąłem do klatki, nim je wysterylizowałem. Odnosiłem wrażenie, że kiedykolwiek mnie widziały, przede wszystkim kojarzyłem się im z siatką i klatką.

Mogłem tylko żywić nadzieję, że w miarę upływu czasu nawiąże się między nami nie porozumienia, lecz okazało się, że los sprzysiągł się przeciw mnie. Przede wszystkim jeśli idzie o sierść 011'yego. W odróżnieniu od swojej siostry był długowłosym kocurem, toteż jego futerko nieustannie płatało się i kołtuniło. Gdyby był zwyczajnym domowym zwierzakiem, szcztokowałbym go, jeżeli zaszłaby taka potrzeba, ale że nawet nie mogłem się do niego zbliżyć, byłem bezradny. Mieszkał już u nas od jakichś dwóch lat, kiedy Helen zawołała mnie do kuchni.

- Popatrz tylko na niego! - powiedziała. - Wygląda okropnie!

Wyjrzałem przez okno. Olly rzeczywiście przypominał stracha na wróble, gdyż splątane i matowe futerko ogromnie kontrastowało ze schludną i gładką sierścią jego ślicznej i drobnej siostrzyczki.

- Widzę, widzę. Ale co mogę na to poradzić? - Już miałem się

107

odwrócić, kiedy coś zauważyłem. - Poczekaj chwilę, pod szyją wisi mu kilka paskudnych wielkich kołtunów. Weź nożyczki, zabierzemy się do nich... parę szybkich ciachnięć i się ich pozbędziemy. Helen zmierzyła mnie pełnym bóleści spojrzeniem.

- Och, już wcześniej tego próbowaliśmy. Nie jestem weterynarzem, ale tak czy siak, nie pozwoli mi na to. Mogę go głaskać, ale to coś zupełnie innego.

- Wiem, jednak musimy mimo wszystko spróbować. To nic strasznego, wierz mi. - Włożyłem jej w dłoń nożyczki o zakrzywionych ostrzach i przez okno zacząłem wydawać instrukcje. - Teraz wsuń palce za wiszący kłęb futra. Świetnie, znakomicie! A teraz weź nożyczki i...

108

Jednak na pierwszy błysk stali Olly jak błyskawica pierzchnął na pole. Zrozpaczona Helen odwróciła się ku mnie:

- Nic z tego, Jim, beznadziejna sprawa... nie pozwoli mi obciąć sobie nawet jednego kołtuna, a ma ich mnóstwo na całym ciele.

Popatrzyłem na zmierzwione małe stworzenie, stojące w bezpiecznej odległości.

- Cóż, masz rację. Muszę wykombinować coś innego. Wykombinowanie czegoś innego polegało na zapędzeniu 01-

ly'ego w jakiś kąt, tak bym mógł go pochwycić, natychmiast też pomyślałem o moich niezawodnych kapsułkach nembutalu. Ta doustna narkoza w niezliczonych przypadkach, kiedy musiałem zajmować się nieprzystępnymi zwierzakami, okazywała się cennym sprzymierzeńcem.

Teraz jednak było inaczej. W tamtych sytuacjach stworzenia siedziały zamknięte za drzwiami, Olly zaś żył na wolności i mógł swobodnie grasować wszędzie. Nie chciałem usypiać kota w takim miejscu, gdzie mógłby dopaść go lis albo jakiś inny prześladowca. Wtedy byłbym zmuszony nie spuszczać go z oka ani na chwilę.

Nadeszła jednak pora na podjęcie decyzji. Zebrałem się w sobie.

- Zajmę się nim w niedzielę - oznajmiłem Helen. - Wtedy jest trochę spokojniej, poproszę więc Siegfrieda, by w razie nagłej potrzeby pospieszył mi z pomocą.

Gdy nastał ów dzień, Helen wyszła na dwór i ustawiła na murku dwie miseczki z pokrojoną drobno rybą, jedna porcja naszpikowana była zawartością kapsułek nembutalu. Przykucnąłem za oknem, nie odrywając wzroku, gdy Helen nakierowała 011'yego do właściwej miseczki. Kiedy zwierzak podejrzliwie ją obwąchiwał, wstrzymałem oddech. Jednakże głód pokonał nieufność i Olly z wyraźnym apetytem wylizał miskę do czysta.

109

Teraz zaczęła się wojna podjazdowa. Gdyby Olly postanowił wyprawić się na pole, jak to często robił, powinienem iść za nim. Wykrałem się cichaczem z domu, kiedy chwiejnym krokiem pomaszerował ku otwartej drewni. Ku mojej niewysłowionej uldze usadowił się na swoim ulubionym miejscu na sianie i zaczął się myć.

Kiedy spoglądałem ukradkiem zza krzaków, z radością stwierdziłem, że Olly bardzo szybko zaczął mieć trudności z trafieniem do pyszczka - lizał tylną łapkę, potem, gdy usiłował sięgnąć nią do mordki, przewracał się.

W duchu parsknąłem śmiechem. Szło znakomicie. Jeszcze kilka minut, a będę go miał.

I tak się stało. Olly najwyraźniej uznał, że nieco go męczy ciągłe wywracanie się, więc nie od rzeczy będzie uciąć sobie drzemkę. Rozejrzał się wokół mętnym wzrokiem i zwinął w kłębek na sianie.

Odczekałem jeszcze chwilę, a potem, niczym dzielny Indianin na wojennej ścieżce, wykrałem się ze swojej kryjówki i na palcach przemknąłem do szopy. Olly nie był całkiem nieprzytomny -nie odważyłem się zaaplikować mu pełnej narkozy na wypadek, gdybym nie zdołał go odszukać - jednakże wyglądało na to, że jest niezłe oszołomiony. Bez trudu więc mogłem zrobić z nim wszystko, co chciałem.

Kiedy przyklęknąłem i zacząłem szczerkać nożyczkami, odemknął oczy i nieporadnie usiłował się bronić, lecz na próżno. Szybko obcinałem zmierzwione futerko. Nie można powiedzieć, abym wykonywał to starannie, gdyż kociak cały czas się trochę wiercił, jednak pozbawiłem go wszystkich wielkich zbitych kołtunów, którymi musiał zaczeptać o krzaki, co z pewnością było dla niego

110

OLLY I GINNY - OSIEDLINY

wielką niewygodą. Wkrótce u mojego boku wyrósł pokaźny kłęb kłaków.

Zauważyłem, że Olly nie tylko się szarpie, ale i mnie obserwuje. Mimo pewnego oszołomienia znakomicie mnie rozpoznawał, a wzrok jego mówił wszystko: „To znowu ty - oskarżał mnie. - Mogłem się tego spodziewać!”

Kiedy skończyłem, włożyłem go do kociej klatki i ustawiłem ją na sianie.

- Przykro mi, stary - odezwałem się - ale nie mogę puścić cię wolno, póki się całkowicie nie wybudzisz.

Olly zmierzył mnie sennym spojrzeniem, lecz doskonale znać było po nim wściekłość.

„Więc znowu mnie tutaj wpakowałaś. Ani na jotę się nie zmieniłeś, prawda?”

Wczesnym popołudniem w pełni oprzytomniał i mogłem go uwolnić. Bez wstrętnych kołtunów prezentował się o wiele lepiej, lecz na nim samym nie wywarło to większego wrażenia, a kiedy otworzyłem klatkę, obrzucił mnie pełnym wyrzutu spojrzeniem i czmychnął.

Helen natomiast była zachwycona moim dziełem i następnego ranka radośnie wskazała parę kotów, siedzących na murku.

- Czyż Olly nie wygląda prześlicznie? Och, taka jestem zadowolona, że go wystrzy-głeś, naprawdę

się nim martwiłam. No i kociak musi czuć się zdecydowanie lepiej.

Ja też odczuwałam niekłamaną satysfakcję, widząc go przez okno. Olly rzeczywiście zmienił się nie do poznania - wczoraj był roz-

111

jamłś HŁKK1U1 - KOCIE OPOWIEŚCI

czochranym stworem, ja zaś bez wątpienia w jednej chwili odmieniłam jego życie i uwolniłam od ciągłej niewygody. Jednakże balonik mojego zachwytu nad sobą pękł natychmiast, gdy tylko wychyliłam głowę za próg. Kocur właśnie zaczął zajadać się śniadaniem, jednak na mój widok jeszcze szybciej niż zwykle wziął nogi za pas i zniknął w dali, na szczycie wzgórze. Ze smutkiem wróciłam do kuchni. W opinii Olly'ego spadłam o wiele punktów niżej. Znużony, nalałam sobie herbaty. Życie było takie ciężkie.

7

Mojżesz -

znaleziony w sitowiu

Wyjście z samochodu wymagało ogromnego samozaparcia. Odjechałam mniej więcej z dziesięć mil od Dar-rowby, cały czas myśląc, że Dales zawsze wydaje się najzimniejsze, nie tylko wtedy gdy zasypie je śnieg, ale i teraz, kiedy pierwsze strumyki zaczynają spływać po nagich stokach wzgórze, żłobiąc w nich biało-czarne pręgi, wyglądające niczym zebra skulonego zwierzęcia. Przed sobą zobaczyłam bramę prowadzącą na farmę, skrzypiącą w zawiasach przy podmuchach wiatru.

Samochód, choć nie ogrzewany i przewiewny, wydawał się niebem w porównaniu z niemiłosiernym światem na zewnątrz, toteż przez parę chwil, nim wysiadłam, kurczowo zacisnąłam na kierownicy dłonie w wełnianych rękawiczkach. Wietrzyko niemal wyrwało mi z rąk klamkę, gdy usiłowałam zatrzaskać drzwiczki, zanim niezdarnie wygramoliłam się na zamrożone blocko i ruszyłam w kierunku furty. Opatulony grubym płaszczem, z szalikiem owiniętym wokół uszu, wciąż czułam ostre, mroźne igiełki, kłujące mnie w nos i smagające boleśnie w odsłonięte partie twarzy.

113

Wjechałam za bramę. Łzy płynęły mi z oczu, już miałam z powrotem wsiąść do samochodu, kiedy mój wzrok przykuło coś niezwykłego. Na ścieżce była zamrożona kałuża, a w niej, na mętej tafli lodu, siedziało jakieś smoliste czarne stworzenie.

Podszedłam bliżej i nachyliłam się. Był to maleńki kociak, pewnie nie miał więcej niż sześć tygodni, skulony i nieruchomy, z kurczowo zacisniętymi powiekami. Schylony, delikatnie pogłaskałam nastroszone futerko. Pewnie już nie żył, taki szkrab nie wytrzymałby

114

■^щрв

MUJ/CM - Z.INAbE.Z.IUIN ĩ WMIUW1U

na takim mrozie... ale nie, tliła się w nim iskierka życia, gdyż na sekundę bezgłośnie otworzył pyszczek i zaraz go zamknął.

Pospiesznie chwyciłam stworzonko i upchnąłam je za pazuchę. Zajeżdżając pod farmę, zawołałam na gospodarza, który właśnie wynosił z cieleńnika dwa wiadra.

- Panie Butler, znalazłam jednego z pańskich kociaków. Musiał się zabłąkać.

Pan Butler odstawił kubły i spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

- Kociak? Akurat nie mamy teraz małych kociąt. Pokazałam mu znajkę, był jeszcze bardziej zdumiony.

- Hm, to pewnie jakiś przybłąda, u nas nie ma czarnych kotów. Są różnej maści, lecz ani jednego czarnego.

- Cóż, musiał więc skądś przywędrować - stwierdziłam. - Choć nie wyobrażam sobie, aby takie maleństwo potrafiło odbyć daleką podróż. Dziwne.

Podaliśmy mu kociaka, ujął go w swoją wielką, spracowaną dłoń.

- Biedne małe nieszczęście, ledwie żyje. Zabiorę go do domu, moja pani pewnie jakoś sobie z nim

poradzi.

W kuchni na farmie pani Butler mocno się zafrasowała.

- Och, co za szkoda! - Jednym palcem pogładziła przemoczone futerko na grzbiecie. - A ma taką miłą mordkę. - Spojrzała na mnie. - Swoją drogą, to kotka czy kocurek?

Szybko zajrzałem stworzonku pod ogon.

- Kocurek.

- Świetnie - ucieszyła się. - Podgrzeję mu trochę mleka, ale przede wszystkim zastosujemy starą kurację.

Nachyliła się nad wielkim, starym, okopconym piecem, otworzyła duchówkę i wepchnęła kociaka do środka.

115

JAMES HEKKIO1 - KLOCIE OPOWIEŚCI

Uśmiechnąłem się. W ten sposób od wiek wieków postępowano z nowo narodzonymi jagniętami, które ucierpiały od zimna i wiatru. Rezultaty kuracji w piekarniku często jednak bywały tragiczne. Pani Butler zostawiła uchylone drzwiczki, mogłem więc obserwować drobne czarne stworzonko. Nie wydawało się, aby się specjalnie przejmował swoim dalszym losem.

Następną godzinę spędziłem zmagając się z nadmiernie wyrosniętą krowią racicą. Jednak, myślałem, strzepując z siebie po skończonej robocie obrzynki kopyta, mam jakąś satysfakcję na widok krowy stojącej wygodnie na obu racicach, wyglądających niemal normalnie

- Hm, chyba o to chodziło - odchrząknął pan Butler. - Proszę zająć do domu i umyć ręce.

W kuchni, pochylając się nad brązowym glinianym zlewem, zerknąłem w stronę piekarnika. Pani Butler parsknęła śmiechem.

- Och, kociak jest wciąż żywy. Proszę tylko spojrzeć. Trudno było odszukać maleństwo w ciemnej czeluści duchów-

ki, jednak kiedy wsunąłem tam dłoń i dotknąłem stworzonka, uniosło ku mnie łebek.

- Dochodzi do siebie stwierdziłem. - Godzina spędzona w piecyku zdziałała cuda.

- Ten sposób rzadko zawodzi. - Żona farmera wyjęła kociaka. - Wydaje mi się, że twardy z niego facet. - Zaczęła łyżeczką wlewać ciepłe mleko w maleńki pyszczek. - Przypuszczam, że za parę dni sam zacznie chleptać.

- Ach, więc chcecie go zatrzymać?

- Jasne, że tak. Zamierzam nazwać go Mojżesz.

116

MOJŻESZ - ZNALEZIONY W SITOWIU

- Mojżesz?

- Owszem, przecież znalazł go pan w sitowiu, czyż nie? Parsknąłem śmiechem.

- Zgadza się. To imię znakomicie do niego pasuje.

Na farmę Butlerów zajechałem dwa tygodnie później i zacząłem rozglądać się za Mojżeszem.

Farmerzy rzadko trzymali koty w domu, sądziłem więc, że jeśli czarny pędrak przeżył, to dołączył do kociej kolonii mieszkającej w obejściu.

Kociaki z farmy wiodły całkiem przyjemne życie. Może nie były głaskane ani pieszczone, mnie jednak zawsze wydawało się, że wiodą wolny żywot w naturalnych warunkach. Spodziewano się po nich, że będą łowić myszy, lecz gdyby nie miały na to ochoty, w zasięgu pyszczków znajdowało się mnóstwo jedzenia. Stały miseczki z mlekiem i można było zajrzeć do psich misek, czy nie zostało w nich coś godnego uwagi. Tego dnia widziałem wiele kotów, niektóre uciekały przede mną w popłochu, inne mruczały i zachowywały się przyjacielsko. Widziałem kotkę, skaczącą wdzięcznie po brukowej kostce, wielkiego trójbarwnego kocura, zwiniętego w kłębek na sianie w ciepłym zakątku obory - koty bardzo ceniły sobie wygodę. Kiedy pan Butler poszedł po gorącą wodę, szybko zerknąłem do zagrody dla krów, a stamtąd, spomiędzy szczebli żłobu z sianem, pogodnie popatrzył na mnie wielki, biały kocur, w tym miejscu właśnie odbywający sjęstę. Jednakże nigdzie nie było śladu Mojżesza.

117

Wycierałem właśnie ręce, a kiedy pan Butler podawał mi marynarke, już miałem, jak zwykle, zagadnąć o koty.

- Jeżeli ma pan minutkę, proszę iść ze mną - odezwał się farmer. - Mam coś, co muszę panu pokazać.

Podążyłem za nim ku długiemu chlewikowi o niskim dachu. Zatrzymał się w połowie drogi przy zagrodzie i wskazał jej wnętrze.

- Proszę tam zajrzeć - powiedział.

Przechyliłem się ponad ścianą, a na mojej twarzy musiało odmalować się wielkie zdumienie, gdyż farmer wybuchnął głośnym śmiechem.

- To chyba nowość dla pana, prawda?

Nie wierząc własnym oczom, spoglądałem na rozciągniętą na boku potężną maciorę z przypiętym do jej sutków tuzinem pro-

118

MOJŻESZ - ZNALEZIONY W SITOWIU

siat. W samym środku różowego rządka znajdował się Mojżesz -puchaty, czarny i zupełnie nie pasujący do tego towarzystwa. W pyszczku miał sutka i ssał równie żarłocznie i energicznie, jak gładkoscórzy kumple po obu jego bokach.

- Wielkie nieba, co to...? - wykrztusiłem. Pan Butler nie przestawał się śmiać.

- Przypuszczałem, że nigdy pan czegoś takiego nie widział, ja też nie, nigdy.

- Ale jak do tego doszło? - Wciąż nie potrafiłem oderwać wzroku.

- To pomysł mojej pani - wyjaśnił. - Kiedy karmiła tego pędraka mlekiem, zaczęła rozglądać się po obejściu, by znaleźć dla niego ciepły kątek. Usadowiła go w chlewie, gdyż maciora, Berta, akurat powiła potomstwo, a ja ogrzewam to pomieszczenie, więc było odpowiednie i przytulne.

Kiwnąłem głową.

- Brzmi to całkiem rozsądnie.

- No więc przyniosła tutaj Mojżesza wraz z miską mleka - ciągnął farmer - ale malec niezbyt długo wytrzymał przy piecyku... Kiedy zajrzałem ponownie do chlewa, już przypiął się do mleczarni.

Wzruszyłem ramionami.

-Mówi się, że w moim zawodzie codziennie spotyka się z czymś nowym, ale o czymś takim nigdy dotąd nie słyszałem. Prawdę powiedziawszy, świetnie to wygląda... czy rzeczywiście tylko ssie mleko maciory, czy też wciąż popija z miski?

- Podejrzewam, że jedno i drugie. Trudno powiedzieć.

Bez względu na to, jaką mieszanką żywił się Mojżesz, błyskawicznie wyrósł na zgrabne, śliczne stworzenie o niezwykle lśniącej sierści, którą może zawdzięczał prosięcej karmie. Nie zdarzyło mi się zajeżdzać do Butlerów, bym nie zerknął do przestronne-

119

\

■I

■'. Γ •

'

•

0EIII'

4i3g

III

MOJŻESZ - ZNALEZIONY W SITOWIU

go chlewu. Berta, przybrana matka kociaka, najwyraźniej nie widziała nic szczególnego w tym owłosionym intruzie i obojętnie popychała go z pełnymi zadowolenia chrząknięciami, zupełnie tak

jak resztę swego miotu.

Mojżesz natomiast w pełni zaakceptował świńską społeczność. Kiedy prosięta zbijały się w kupkę i układały do snu, Mojżesz lokował się gdzieś między nimi, a gdy po ośmiu tygodniach jego kumpli odstawiono od piersi, wciąż demonstrował swoje przywiązanie do Berty, spędzając z nią większość czasu.

I trwało to całe lata. Często zachodził do chlewu, ocierając się radośnie o miękki brzuch maciory, jednak najlepiej zapamiętałem go w jego ulubionym miejscu - przykucniętego na murku i spoglądającego z niejaką zadumą tam, gdzie znalazł swój pierwszy, ciepły dom.

8

Frisk-

kot przywracany do życia

Czasami, kiedy nasi psi i koci pacjenci rozstawali się z życiem, właściciele przynosili je, byśmy je pochowali. Nieodmiennie było to smutne przeżycie, toteż kiedy ujrzałem minę starego Dicka Fawcetta, ogarnęły mnie najgorsze przecucia. Na stole operacyjnym w lecznicy położył sklecone domowym sposobem kocie pudełko i spojrzał na mnie smętnym wzrokiem.

- To Frisk - oznajmił. Wargi mu drżały, jak gdyby nie był zdolny wypowiedzieć słowa więcej.

Nie zadawałem żadnych pytań, zacząłem tylko odplątywać sznurek z kartonowego pudła. Dicka nie było stać na przyzwoity koci koszyk, jednak z tego korzystał już wcześniej - był zrobiony własnym przemyślem, z wyciętymi po bokach dziurkami.

Rozsuplałem ostatni węzeł i popatrzyłem na leżące wewnątrz bez ruchu ciało. Żwawy Frisk.

Wesołe, małe stworzonko o lśniącym, czarnym futerku. Tak dobrze go znałem, zawsze mrucał i łaścił się, był towarzyszem i przyjacielem Dicka.

- Dick, kiedy Frisk umarł? - spytałem łagodnie.

Przesunął dłonią po wymizerowanej twarzy i zmierzwionych, siwych włosach.

122

FRISK - KOT PRZYWRACANY DO ŻYCIA

- Hm, dziś rano znalazłem go wyciągniętego na moim łóżku. Ale... ale wcale nie jestem przekonany, czy on naprawdę zdechł, panie Herriot.

Ponownie zajrzałem do pudełka. Nie widać było, żeby kot oddychał. Przeniosłem bezwładne ciało na stół i dotknąłem rogowki nic nie widzącego oka. Żadnego odruchu. Sięgnąłem po stetoskop i przyłożyłem go do piersi zwierzaka.

- Dick, serce wciąż bije, ale bardzo słabo.

- Mówi pan, że może w każdej chwili ustać? Zawahałem się.

- Hm, obawiam się, że na to wygląda.

Gdy to mówiłem, klatka piersiowa kociaka uniosła się odrobinę.

- Wciąż oddycha - stwierdziłem. - Ale bardzo słabo. - Starannie obejrzałem zwierzę, lecz nie spostrzegłem niczego szczególnego. Spojówki miały zdrowe zabarwienie. Prawdę powiedziawszy, nic nie odbiegało od normy.

Przesunąłem dłonią po zgrabnym, małym ciałku.

- Dick, to dla mnie zagadka. Kociak zawsze był taki pełen życia... prawdę mówiąc, jego imię doskonale do niego pasowało, a teraz leży tutaj bezwładnie, ja zaś nie potrafię znaleźć przyczyny.

- Może miał jakiś wypadek albo coś w tym rodzaju?

- Sądzę, że to możliwe, jednak wtedy nie spodziewałbym się, że zupełnie straci przytomność.

Zastanawiam się, czy nie dostał czymś w głowę.

- Chyba nie. Kiedy kładłem się spać, był rześki jak rybka, a w nocy nigdy nie wychodzi na dwór. - Starszy pan wzruszył ramionami. - No tak, wygląda na to, że przyszedł jego kres?

123

FRISK - KOT PRZYWRACANY DO ŻYCIA

- Obawiam się, że masz rację, Dick. Ledwie dycha. Zaaplikuję mu jednak zastrzyk wzmacniający, a potem musisz zabrać kocur-ka do domu i trzymać w cieple. Jeśli wytrzyma do jutra, przynieś go, żebym go obejrzał.

Usiłowałem mówić optymistycznym tonem, lecz byłem pewien, że nigdy już nie ujrzę Friska, i

zdawałem sobie sprawę, że starszy pan myśli tak samo.

Trzęsącymi się dłońmi zawiązywał pudełko, milczał, póki nie znaleźliśmy się na progu. Na chwilę obrócił się w moją stronę i kiwnął głową.

- Dziękuję, panie Herriot.

Patrzyłem za nim, kiedy powłócząc nogami oddalał się ulicą. Wracał do opustoszałego domu, niosąc umierającego kota. Jego żona zmarła wiele lat temu - nigdy nie poznałem pani Fawcett - mieszkał sam, utrzymywał się z renty. Nie bardzo starczało mu na życie. Był spokojnym, sympatycznym człowiekiem, który rzadko wychodził, i najwyraźniej nie miał zbyt wielu przyjaciół, miał jednak Friska. Kociak wprowadził się do niego jakieś sześć lat temu i odmienił jego życie, wnosząc w cichy dom radość i wrzawę. Starszy pan śmiał się z jego sztuczek i zabaw, kocurek chodził za nim krok w krok, ocierając się o jego nogi. Dick przestał być taki samotny, ja zaś z sympatią obserwowałem, jak przez te lata zawiązuje się między nimi coraz serdeczniej szał więź. Szczerze mówiąc, było to coś więcej - starszy pan najwyraźniej uzależnił się od Friska. A teraz to. Cóż, dumałem, wracając korytarzem, takie rzeczy zdarzają się w praktyce lekarza weterynarii. Domowe zwierzęta nie żyją zbyt długo. Jednak tym razem czułem się o wiele gorzej, gdyż nie miałem pojęcia, co zaszkoziło mojemu pacjentowi. Byłem kompletnie zdezorientowany.

125

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

Nazajutrz rano ze zdziwieniem ujrzałem Dicka Fawcetta w poczekalni. Na kolanach piastował pudło. Wlepiłem w niego wzrok.

- Co się stało?

Nie odpowiedział, miał tylko nieprzeniknioną minę, gdy wkroczyliśmy do gabinetu i gdy rozwiązał supły. Kiedy otworzył wieko, byłem przygotowany na najgorsze, lecz, ku mojemu zdumieniu, na stół wyskoczył żwawy kociak i zaczął ocierać mordkę o moją dłoń, mruczając niczym mały motorek. Starszy pan roześmiał się, co odmieniło jego szczupłą twarz.

- No, i co pan o tym myśli?

- Sam nie wiem, co myśleć, Dick. - Starannie obejrzałem zwierzątko. Wydawało się absolutnie w porządku. - Wiem jedno, jestem szczerze uradowany. Mam wrażenie, że nastąpił jakiś cud.

- Wcale nie - zaprzeczył Dick. - To dzięki temu zastrzyko-

126

FRISK - KOT PRZYWRACANY UU ŻYCIA

wi, który mu pan zrobił. Sprawił cuda. Jestem niewymownie wdzięczny.

Cóż, było to bardzo uprzejme z jego strony, jednak sprawa wcale nie przedstawiała się tak prosto. Zaszło tu coś, czego nie potrafiłem zrozumieć, ale niczego to nie zmieniało. Chwała Bogu, że wszystko się dobrze skończyło.

Całe to wydarzenie szczęśliwie odchodziło w niepamięć, kiedy trzy dni później Dick Fawcett ponownie zjawił się w lecznicy, dźwigając pudło. W środku bez ruchu, nieprzytomny jak przedtem, spoczywał Frisk.

Całkowicie zaskoczony, znowu zbadalem kota, zrobiłem mu zastrzyk i nazajutrz zwierzę wróciło do formy. Od tamtej pory znalazłem się w sytuacji, którą świetnie zna każdy lekarz weterynarii - zetknąłem się z niewyjaśnionym przypadkiem i w każdej chwili spodziewałem się, że nastąpi tragedia.

Minął prawie tydzień, kiedy zatelefonowała do mnie pani Dug-gan, sąsiadka Dicka.

- Dzwonię w imieniu pana Fawcetta. Jego kot zachorował. -Co mu jest?

- Och, leży wyprostowany jak struna, nieprzytomny. Zdusiłem jęk.

- Kiedy to się stało?

- Znaleźliśmy go tak dziś rano. Ale pan Fawcett nie może go do pana przynieść, bo sam nie czuje się najlepiej. Leży w łóżku.

- Przykro mi to słyszeć. Zaraz przyjeżdżam.

Wszystko było dokładnie tak jak wcześniej. Małe zwierzątko

127

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

wyprężone jak struna leżało na łóżku Dicka. Dick sam wyglądał strasznie - trupio blady i bardziej niż zwykle wymizerowany -jednak wciąż starał się uśmiechać.

- Wydaje się, że znowu potrzebny mu jest pański cudowny zastrzyk.

Napełniłem strzykawkę, w głowie zaległa mi się myśl, że tutaj naprawdę przydałby się jakiś cud, a z pewnością nie był nim mój zastrzyk.

- Wpadnę jutro, Dick - zapewniłem. - I mam nadzieję, że ty także się lepiej poczujesz.

- Och, na pewno, jeśli tylko temu stworzonku się polepszy. -Starszy pan wyciągnął rękę i pogłaskał lśniące futerko kocurka. Miał wychudzone ramię, a w oczach na zapadniętej twarzy malowała się rozpacz.

Rozejrzałem się po nędznym pokoiku, spodziewając się kolejnego cudu.

Właściwie nie zdziwiłem się, kiedy wróciłem następnego ranka i ujrzałem Friska hasającego po łóżku, polującego na sznurek, rzucany mu przez starszego pana. Ulga była ogromna, lecz jeszcze bardziej niż dotąd czułem się zdezorientowany. Do diabła, co tu się dzieje? Cały ten przypadek wydawał się kompletnie pozbawiony sensu. Żadna znana mi choroba nie miała takich objawów. Nie wątpiłem, że gdybym nawet przewertował całą bibliotekę podręczników weterynaryjnych, nie stałbym się mądrzejszy.

Tak czy siak, widok kociaka ocierającego się o moją dłoń i mruczącego był dostateczną nagrodą, dla Dicka zaś był wszystkim. Odprężył się, uśmiechnął.

- Świetnie pan się nim zajmuje, panie Herriot. Nie posiadam się z wdzięczności. - Potem w jego oczach zabłyśły iskierki nie-

128

^

pokoju. - Ale czy on z tego wyjdzie? Lękam się, że może nie przeżyć któregoś razu.

Cóż, ta kwestia wciąż pozostawała otwarta. Ja także się tego obawiałem, jednak usiłowałem zachować pogodną twarz.

- Może to tylko faza przejściowa, Dick. Ufam, że nie będziemy już mieli więcej kłopotów. - Jednak nie potrafiłem niczego obiecać, a wymizerowany człowiek, leżący w łóżku, świetnie o tym wiedział.

Pani Duggan odprowadzała mnie właśnie do drzwi, kiedy zobaczyłem wysiadającą z samochodu rejonową pielęgniarkę.

- Dzień dobry, siostró - powitałem ją. - Przyszła pani zajrzeć do pana Fawcetta? Przykro mi, że zachorował.

129

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

Skinęła głową.

- Tak, biedaczysko. Taka szkoda.

- Co pani mówi? Czy to coś poważnego?

- Obawiam się, że tak. - Zacisnęła wargi i odwróciła wzrok. -Umiera. To rak. Stan coraz bardziej się pogarsza.

- Dobry Boże! Biedny Dick! Jeszcze parę dni temu przyniósł mi do lecznicy kota. I nie wspominał o tym ni słowem. Czy wie o wszystkim?

- Owszem, wie, lecz to już jest poza nim, panie Herriot. Jest tylko pionkiem w grze. Naprawdę, nie powinien umierać.

- Czy... czy on... cierpi? Wzruszyła ramionami.

- Teraz pewnie odczuwa jakieś bóle, jednak pomagamy mu na tyle, na ile pozwala medycyna.

Kiedy potrzebuje, robię mu zastrzyk, ma też środki uśmierzające na wypadek, gdyby nie było mnie w pobliżu. Jest tak osłabiony, że nie może sam nalać sobie lekarstwa z buteleczki na łyżkę. Pani Duggan chętnie pospieszyłaby mu z pomocą ale on jest taki niezależny. - Uśmiechnęła się przelotnie. -Nalewa miksturę na spodeczek i stamtąd popijają łyżeczką.

Ń, ' .''iw, ^00*^ 130

FRISK - KOT PRZYWRACANY DO ŻYCIA

- Na spodeczek?... - We mgle, jaka spowijała mój umysł, rozbłysło światelko. - Co to za mikstura?

- Och, morfina z pethidryną. Doktor Allison zazwyczaj to przepisuje.

Chwyciłem ją za ramię.

- Wracam z panią siostrą.

Kiedy ponownie się zjawiłem, starszy się pan zdziwił.

- Co się stało, panie Herriot? Zapomniał pan czegoś?

- Nie, Dick, chciałem tylko pana o coś zapytać. Czy pańskie lekarstwo jest smaczne?

- Aha, smaczne i słodkie. Można zażywać je bez wstrętu. -1 nalewa je pan na spodeczek?

- Zgadza się. Odrobinę trzęsie mi się ręka.

- A kiedy zażył je pan ubiegłego wieczoru, czy na spodeczku nie zostało przypadkiem parę kropel?

- Owszem, ale dlaczego pan pyta?

- Ponieważ spodeczek stoi przy pańskim łóżku, a Frisk sypia z panem...

Starszy pan leżał nieruchomo i nie odrywał ode mnie wzroku.

- Pan sądzi, że ten mały łobuziak wylizuje resztki ze spodka?

- Założę się, że tak.

Dick oparł głowę o poduszki i parsknął śmiechem. Przeciąglým, pełnym radości śmiechem.

- A więc to to go usypiało! Nic dziwnego! Mnie też nieźle zwala z nóg!

Zawtórowałem mu śmiechem.

- Tak czy owak, teraz już mamy jasność, Dick. Kiedy zażyjesz miksturę, to może raczej odstawiaj spodeczek na kredens.

- Tak zrobię. A Frisk nigdy już tak nie omdleje?

- Nie, nigdy.

131

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

- Och, to wspaniale! - Usiadł na łóżku, uniósł drobnego kociaka i przytulił go do twarzy. Westchnął ze szczerym ukontentowaniem i uśmiechnął się do mnie.

- Panie Herriot - odezwał się. - Już teraz nie mam powodów do zmartwień.

Gdy znalazłem się na ulicy, po raz drugi pożegnałem się z panią Duggan i obejrzałem na mikroskopijny domek.

- „Nie ma powodów do zmartwień”, co? Człowiek naprawdę się cieszy, gdy go widzi.

- A owszem, i o to mu chodzi. Nie chce nikomu sprawiać kłopotów.

Z Dickiem spotkałem się po dwóch tygodniach. Właśnie odwiedzałem przyjaciela w szpitaliku w Darrowby, kiedy w rogu sali ujrzałem starszego pana.

Podszedłem i usiadłem przy nim. Twarz miał straszliwie wychudzoną, ale pogodną.

- Witaj, Dick - odezwałem się.

Popatrzył na mnie sennym wzrokiem i przemówił szeptem: -No tak, panie Herriot. -Na parę chwil przymknął oczy, potem otworzył je znowu i spojrzał na mnie z bladym uśmiechem. - Cieszę się, że wiemy już, co dolegało kociakowi.

- Ja też, Dick. Znowu pomilczał.

- Pani Duggan wzięła go do siebie.

FRISK - KOT PRZYWRACANY DO ŻYCIA

- Tak, wiem. Będzie miał u niej dobry dom.

- Aha... aha... - Jego głos stawał się coraz słabszy. - Ale często pragnąłbym mieć go tutaj przy sobie.

- Koścista dłoń pogładziła kołdrę, wargi znów się poruszyły. Nachyliłem się bliżej.

- Frisk... - mówił Dick. - Frisk... - Powieki zamknęły się, spostrzegłem, że zasnął.

Nazajutrz dowiedziałem się, że Dick Fawcett zmarł. Prawdopodobnie byłem ostatnią osobą, z którą rozmawiał. A jego pożegnalne, dziwne, pokrzepiające słowa skierowane były do kota:

- Frisk... Frisk...

9

Ollyi Ginny

Największy triumf

Mijały miesiące bez wyraźnej odwilży w stosunkach między mną a naszymi dzikimi kotami, a ja z narastającym niepokojem obserwowałem, jak długa sierść 01-ly'ego wraca do poprzedniego

haniebnego stanu. Pojawiły się znów znajome supły i kołtuny, po roku zaś wyglądał równie fatalnie, jak przedtem. Każdego dnia stawało się coraz bardziej oczywiste, że muszę coś z tym zrobić. Jednak w jaki sposób miałyby mi się udać po raz drugi go oszukać? Musiałem spróbować. Poczyłem te same przygotowania. Helen postawiła na murku miskę zjedzeniem nafaszerowanym nembutalem, jednak tym razem Olly powąchał je, polizał i odszedł. Spróbowaliśmy przy kolejnym posiłku, lecz kocur bardzo podejrzliwie obejrzał karmę i odwrócił się. Było jasne, iż wyczuwa, że coś się święci.

Kryjąc się na swojej zwykłej pozycji za kuchennym oknem, odezwałem się do Helen:

- Zamierzam spróbować, może go złapię.

- Złapiesz go? To znaczy w siatkę?

- Nie, nie. Ten sposób był dobry, kiedy Olly był małym kociakiem. Teraz nie udałoby mi się do niego zbliżyć.

134

OLLY I GINNY - NAJWIĘKSZY TRIUMF

- W takim razie, jak sobie poradzisz?

Popatrzyłem na rozczochrane, czarne stworzenie na murku.

- Cóż, może ukryję się za twoimi plecami, kiedy go będziesz karmiła, chwycę i zapakuję do klatki. Wtedy będę mógł zawieźć go do lecznicy, zaaplikować mu ogólną narkozę i porządnie się nim zająć.

- Pochwycisz 011y'ego? I wepchniesz do klatki? - spytała niedowierzająco Helen. - To chyba niemożliwe.

- Tak, wiem, jednak w swoim czasie udało mi się złapać kilka kotów, a będę działał błyskawicznie. Jeżeli tylko zdołam się ukryć. Spróbujemy jutro rano.

Żona popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Widziałem, że nie ma wielkiej nadziei.

Nazajutrz ustawiła na murku miseczkę z przepyszny, świeżym, drobno posiekanym łupaczem.

Było to ulubione danie kotów. W gotowanej rybie nie widziały nic szczególnego, jednak surowej nie potrafiły się oprzeć. Otwarta klatka znajdowała się poza zasięgiem ich wzroku. Koty maszerowały po murku. Ginny, schludna i lśniąca, Olly zaś przedstawiał sobą żaloszny widok, ze zmierzwioną sierścią i paskudnymi kołtunami, wiszącymi mu na szyi i brzuchu. Helen, jak zwykle, popieściła koty, a kiedy rażno zabrały się do jedzenia, wróciła do kuchni, w której się czałem.

- Teraz - powiedziałem. - Chcę, żebyś ponownie wyszła, tym razem bardzo powoli, ja będę się krył za twoimi plecami. Kiedy zbliżysz się do 011y'ego, on będzie całkowicie skupiony najedzeniu, więc może mnie nie dostrzeże.

Helen nic nie odpowiedziała, a ja przycisnąłem się do jej pleców, starannie chowając głowę za jej głowę i nogi za nogami.

- Dobra, ruszamy. - Przywarłem lewą nogą do jej nogi i szurając stopami wyszliśmy za próg, poruszaliśmy się jak jeden człowiek.

135

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

- To śmieszne - jęknęła Helen. - Zupełnie jakbyśmy grali w musicalu.

Szturchnąłem ją nosem w szyję i syknąłem do ucha:

- Cicho, po prostu idź.

Kiedy niczym jedno ciało podeszliśmy do murku, Helen wyciągnęła rękę i pogłaskała 011y'ego po łebku, jednak on był zanadto zajęty dorszem, by podnieść głowę. Był tam na wysokości mojej piersi, oddalony zaledwie o parę stóp. Nie mogłbym wymarzyć sobie lepszej okazji. W mgnieniu oka wysunąłem rękę zza Helen, chwyciłem go za kark, uniosłem podrygującego czarnymi łapkami i w kilka sekund wepchnąłem do klatki. Kiedy zatrząskiwałem wieko, w jednym rogu pojawiła się desperacko łapa, ale wsadziłem ją do środka i zamknąłem metalową siatkę. Odciąłem mu drogę ucieczki.

Postawiłem klatkę na murku. Oczy 011y'ego znalazły się na wysokości moich, skuliłem się, napotkawszy płynący zza krat oskarżycielski wzrok. „Znowu! Nie mogę w to uwierzyć! - mówił. - Czy nie ma końca tym podstępom?”

Szczerze powiedziawszy, czułem się okropnie. Nieszczęsna kocina, przerażona moją napaścią, nawet nie próbowała mnie zadrapać czy ugryźć. Jak przy poprzednich razach - on tylko chciał ratować się ucieczką. Nie mogłem więc mieć mu za złe, że myślał o mnie same najgorsze rzeczy. Jednakże, powtarzałem sobie, w rezultacie znowu przeistoczy się w piękne zwierzę.

- Nie poznasz sam siebie, stary - oznajmiłem skamieniałemu ze strachu stworzonku, skulonemu w klatce na siedzeniu mojego samochodu, kiedy jechaliśmy w stronę lecznicy. - Tym razem mistrzowsko cię ostrzygę. Będziesz wyglądał wspaniale i wspaniale się poczujesz.

136

OLLY GINNY - NAJWIĘKSZY TRIUMF

Siegfried zaofiarował mi się z pomocą i kiedy położyliśmy Ol-ly'ego na stole, trzęsący się kociak poddał się naszym zabiegom i zaaplikowaliśmy mu narkozę. Kiedy już usnął i leżał spokojnie, z okrutną radością wlepiłem wzrok w straszliwie zmierzwiłone futerko, a potem wycinałem je, trymowałem, degażowałem elektryczną maszynką i długo szczotkowałem, aż zniknął ostatni supeł. Poprzednio pospiesznie OHy'ego tylko przystrzygłem, teraz zaś potraktowałem go z całą atencją. Kiedy podniosłem kota po skończonej robocie, Siegfried roześmiał się.

- Prezentuje się tak, że zwyciężyłby w każdym kocim konkursie piękności - stwierdził.

Przypomniałem sobie te słowa następnego ranka, gdy koty pojawiły się na murku na śniadanie.

Ginny zawsze była śliczna, lecz teraz została niemal zupełnie przyćmiona przez brata. Biegł, a jego gładkie, błyszczące futerko lśniło w promieniach słońca.

Helen była oczarowana jego wyglądem i nieustannie głaskała go po grzbiecie, jakby nie potrafiła uwierzyć w to przeobrażenie. Ja - rzecz jasna na swoim zwykłym stanowisku - wyglądałem ukradkiem z kuchennego okna. Nieprędko ośmielę się znowu pokazać OHy'eiruu.

Φ «P

Wkrótce stało się jasne, że moje notowania spadły jeszcze niżej, ponieważ gdy tylko wysuwałem nogę za próg, Olly czmychał w popłochu na pola. Sprawy przybrały na tyle fatalny obrót, że zaczęły ogarniać mnie najczarniejsze myśli.

- Helen - odezwałem się pewnego ranka. - Zachowanie

137

OLLY I GINNY -NAJWIĘKSZY TRIUMF

OHy'ego zaczyna mi działać na nerwy. Musimy jakoś temu zaradzić.

- Właśnie, Jim - odparła. - Trzeba, żebyś się z nim zaprzyjaźnił. A on z tobą.

Zmierzyłem ją posępnym spojrzeniem.

- Obawiam się, że gdybyś go zapytała, powiedziała ci, że za dobrze mnie zna.

- Och, wiem o tym, jednak pomyśl, koty prawie wcale cię nie widują, chyba że jako lekarza. To ja je karmię, przemawiam do nich, codziennie je głaszczę. Znają mnie i dlatego mi ufają.

- Zgoda, ale ja przecież nie mam czasu.

- Oczywiście, że nie. Żyjesz w ciągłym pośpiechu. Do domu zaglądasz tylko na chwilę i natychmiast z niego wypadasz.

W zadumie pokiwałem głową. Miała rację. Przez wszystkie te lata serdecznie przywiązałem się do kotów, uwielbiałem przyglądać się, jak pędziły w górę zbocza do misek, igrały w wysokiej trawie na polu, poddawały się pieszczotom Helen, a ja jednak wciąż byłem dla nich kimś obcym. Zaboląła mnie bardzo świadomość, że cały ten czas tak szybko przemknął mi między palcami.

- Hm, prawdopodobnie teraz jest już za późno. Jak ci się wydaje, czy mógłbym jeszcze coś na to zaradzić?

- Owszem - odparła. - Powinieneś zacząć je karmić. Musisz znaleźć na to czas. Wiem, że nie zawsze ci się to uda, ale kiedy przypadkiem trafi ci się wolna chwila, podsuwaj im jedzenie.

- Sądzisz, że tylko pełna miska zapewni mi ich miłość?

- Wcale nie. Jestem przekonana, że dość często widywały mnie z tobą. Nie zabierają się do miski, póki ich nie pogłaszczę. One najbardziej w świecie pragną czułości i przyjaźni.

139

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

- Ale chyba przecież nie mojej. Denerwuje je już sam mój widok.

- Musisz uzbroić się w cierpliwość. Minęło wiele czasu, nim ja zyskałam ich zaufanie. Zwłaszcza Ginny. Nawet teraz, kiedy zbyt szybko wysunę dłoń, ucieka. Pomijając wszystko, co się zdarzyło, mam wrażenie, że Olly jest twoją największą nadzieją. W tym kocie kryją się wielkie pokłady przyjaźni.

- Zgoda - odpowiedziałem. - Przygotuj mi mleko i karmę. Zacznę od zaraz.

I w ten sposób rozpoczęła się jedna z największych epopei w moim życiu. Przy każdej nadarzającej się okazji to ja wołałem je najedzenie, stawiałem miski na murku i czekałem. Z początku na próżno. Widziałem, jak parka obserwuje mnie z legowiska na sianie w drewnitni - dwie mordki: biało-czarna i rudo-złoto-biała - dłuższy czas kociaki nie ośmielały się podejść bliżej, póki nie wycofałem się do domu. Ponieważ miałem nienormowany czas pracy, z niejaką trudnością mogłem wypełniać narzucone sobie obowiązki. Niekiedy, gdy wcześniej rano wołałem je na śniadanie, nie pojawiały się w porę. Jednakże gdy zdarzyło się kiedyś, że śniadanie spóźniło się o godzinę, głód przygnał kociaki i ostrożnie usiadły na murku, choć wciąż byłem w pobliżu. Szybko, nerwowo się oglądając, pochłaniały jedzenie, potem umknęły, aż się za nimi kurzyło. Uśmiechnąłem się z satysfakcją. W tej chwili nastąpiło przełamanie lodów.

Potem przez dłuższy czas nie ruszałem się z miejsca, gdy jadły, aż wreszcie zaakceptowały mnie jako część scenerii. Następnie spróbowałem bardzo powoli wyciągać dłoń. Z początku odskaki-

140

OLLY I GINNY - NAJWIĘKSZY TRIUMF

wały spłoszone, jednak z biegiem dni coraz mniej się bały, natomiast we mnie rodziła się coraz większa nadzieja. Olly, po początkowych ucieczkach, zaczął mi się przypatrywać badawczym wzrokiem, jak gdyby rozważał możliwość zapomnienia o przeszłości i zrewidowania swojej opinii o mnie. Z niewysłowioną cierpliwością, dzień po dniu, zdołałem coraz bliżej przysuwać do niego dłoń, a na zawsze wryła mi się w pamięć chwila, gdy wreszcie stanął spokojnie i pozwolił, bym koniuszkiem palca musnął jego policzek. Kiedy delikatnie gładziłem futerko, kocurek przyglądał mi się wyraźnie przyjaznym wzrokiem, a potem gdzieś odbiegł.

141

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

- Helen - odezwałem się, zerkając w stronę kuchennego okna.

- Udało się! Wreszcie się zaprzyjaźniliśmy. Ale musi jeszcze upłynąć sporo czasu, nim pozwoli mi się głaskać tak jak tobie. - Nappełniało mnie niepojęte poczucie radości i spełnienia. Zareagowałem dziwnie jak na człowieka, który codziennie miał do czynienia ze zwierzakami wszelkiego rodzaju, jednak od wielu lat bardzo tęskniłem, by zaprzyjaźnić się z tym właśnie kotem.

Straszliwie się pomyliłem. W tamtej chwili nie mogłem wiedzieć, że za czterdzieści osiem godzin OUy umrze.

Następnego ranka Helen wezwała mnie do ogródka na tyłach domu. Wjej głosie brzmiało przerażenie.

- Jim, chodź szybko! Coś stało się z Ollym!

Popędziłem do niej. Stała przy szczycie wzgórza, nieopodal szopy. Ginny była w środku, jednak Olly leżał bezwładnie, niczym czarna smużka, wśród wysokiej trawy.

Helen mocno chwyciła mnie pod ramię, kiedy nachylałem się nad kociakiem.

- Co mu się stało?

Leżał bez ruchu, łapki miał sztywno wyprostowane, grzbiet potwornie naprężony, ślepią szeroko rozwarte.

- Obawiam się... obawiam się, że umiera. Wygląda na to, że zatrzał się strychniną.

Jednakże na dźwięk mojego głosu Olly drgnął.

- Poczekaj chwilę! - zawołałem. - Jeszcze żyje, ale ledwie dyszy.

- Spostrzegłem, że naprężenie nieco ustąpiło, zdołałem bez trudu unieść kończyny zwierzątka i podnieść je. - To nie strychnina. Na to wygląda, ale to nie to. To coś mózgowego, wygląda na wylew.

Zaschło mi w ustach, kiedy zaniósłem Olly'ego do domu, leżał bez ruchu, oddech był prawie niewyczuwalny.

t

142

I GINNV - NAJWIĘKSZY TRIUMF

- Czy możesz mu jakoś pomóc? - spytała Helen przez łyzy.

- Natychmiast zabieram go lecznicy. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. - Pocałowałem żonę w wilgotny policzek i wybiegłem do samochodu.

Razem z Siegfnedem zaaplikowaliśmy kocurkowi narkozę, gdyż jego łapki zaczęły drżeć, potem wstrzyknęliśmy mu sterydy i antybiotyki, podłączyliśmy kroplówkę. Przypatrywałem się kocinie, kiedy leżała w klatce w lecznicy, bezładnie przebierając łapkami.

- Chyba już nic więcej nie możemy zrobić?

Siegfried potrząsnął przecząco głową i wzruszył ramionami. Jego diagnoza zgadzała się z moją: wylew, paraliż, wewnętrzny krwotok, jakkolwiek to nazwać, jednak z pewnością miało to coś wspólnego z mózgiem. Widziałem, że kolega czuje się równie jak ja bezradny.

Cały dzień zajmowaliśmy się Ollym, po południu przez chwilę wydawało się, że jego stan ulega poprawie, jednak pod wieczór zapadł w śpiączkę i w nocy zmarł.

Odwiozłem go do domu, a kiedy wynosiłem z samochodu, gładka, pozbawiona kołtunów sierść, teraz, kiedy życie kociaka dobiegło kresu, zakrawała na Nę»?»• Pochowałem go nieopodal drewni, w której tyle lat przespał na sianie.

Weterynarze tracący zwierzaki nie różnią się od innych ludzi. Helen i ja pograżyliśmy się w żalobie. Mieliśmy nadzieję, że upływ czasu przytłumi nasze nieszczęście, jednak musieliśmy zająć się pewnym palącym problemem. Co dalej z Ginny?

Para kociaków była nierozłączna, nigdy nie widzieliśmy, by jedno przebywało gdzieś bez drugiego. Było więc oczywiste, że w oczach Ginny świat bez Olly'ego będzie zupełnie inny. Przez

143

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

kilka dni odmawiała przyjmowania pokarmu. Wielokrotnie ją wołaliśmy, jednak zbliżała się ledwie parę jardów od domu, rozglądała się ze zdziwieniem i wracała na swoje legowisko. Przez wszystkie te lata nigdy samodzielnie nie wybiegała na zbrocze, więc w ciągu najbliższych tygodni jej oszołomienie, gdy wciąż się rozglądała, szukając i wypatrując towarzysza, okazało się jedną z najstraszniejszych rzeczy, jakich musiałem być świadkiem.

Helen przez wiele dni podsuwała jej karmę do legowiska, aż wreszcie udało się zwabić kotkę na murek, jednak Ginny prawie nie zanurzyła pyszczka w misce, tylko rozglądała się, czekając, czy pojawi się Olly i do niej dołączy.

- Czuję się bardzo osamotniona - stwierdziła Helen. - Musimy poświęcać jej więcej uwagi niż dotychczas. Będę dłużej zabawiać się z nią na dworze, przemawiać do niej, ale gdyby udało się nam

144

OLLY I GINNY - NAJWIĘKSZY TRIUMF

przywołać ją do domu... To rozwiązałoby wszystkie problemy, lękam się jednak, że nigdy się nam nie powiedzie.

Spoglądałem na małe stworzonko, zastanawiając się, czy przywyknę do widoku jednego tylko kociaka na murku, jednakowoż obraz Ginny na kolanach Helen lub przy kominku zdawał się nieziszczalnym marzeniem.

- Owszem, zgadzam się, jednak może zdołam coś wymyślić. Udało mi się zaprzyjaźnić z Ollym... zacznę w ten sam sposób podchodzić do Ginny.

Zdawałem sobie sprawę, że stawiam przed sobą długotrwałe i może beznadziejne wyzwanie, gdyż szylkretowa kociczka zawsze była o wiele bardziej nieśmiała z ich dwojga. Jednak stanowczo przystąpiłem do dzieła. W porach karmienia i kiedykolwiek tylko nadarzyła się sposobność, wychodziłem za próg kuchni, wabiąc i nawołując kotkę, wysuwałem ku niej dłoń. Dłuższy czas, mimo że przyjmowała jedzenie z mojej ręki, nie ośmieliła się do mnie zbliżyć. A potem, może dlatego, że tak bardzo pragnęła towarzystwa, poczuła, iż nie powinna mnie dłużej odrzucać.

Nadszedł dzień, w którym pozwoliła mi pogłaskać się koniuszkiem palca po mordce, tak jak niegdyś pozwolił na to Olly.

Niespiesznie, choć wytrwale, dokonywałem dalszych postępów. Tydzień po tygodniu głaskałem ją po pyszczku, potem delikatnie zacząłem drapać za uszkami, wreszcie mogłem przesunąć dłonią po całej długości jej grzbietu i połaskotać w koniuszek ogonka. Od tamtej chwili nawiązywała się między nami zażyłość, o jakiej niegdyś nie śmiałem marzyć, aż wreszcie nie spojrzała nawet na jedzenie, póki kilkakrotnie nie przemierzyła murku, wyginając się

145

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

z zachwytem pod dotykiem mojej dłoni i całym ciałkiem ocierając o moje ramiona. Wśród tych codziennych czułości najbardziej polubiła przyciskać nosek do mojego. Stała tak kilka chwil, patrząc mi prosto w oczy.

Któregoś ranka, parę miesięcy później, przybraliśmy tę właśnie pozycję - ona na murku, dotykająca mnie nosem, wpatrzona w moje oczy, zachwycona, jak gdyby sądziła, że jestem cudowny i nie może się mną nasycić - kiedy za plecami usłyszałem jakiś szmer.

- Właśnie oglądam sobie lekarza weterynarii przy pracy - stwierdziła cicho Helen.

- Pracy dającej wiele szczęścia - odrzekłem, nie ruszając się, nie odrywając wzroku od zielonych, promieniejących przyjaźnią oczu, oddalonych ode mnie zaledwie o parę cali. - Musisz wiedzieć, że to chwila jednego z moich największych triumfów.

10

Buster -

bożonarodzeniowy kociak

Γ

Święta Bożego Narodzenia już zawsze będą mi się kojarzyć ze wspomnieniem o pewnej małej kotce. Po raz pierwszy ujrzałem ją, kiedy pani Ainsworth wezwała mnie do któregoś ze swoich psów i wtedy z niejakim zdumieniem zobaczyłem puszyste, czarne stworzenie, siedzące przed kominkiem.

- Nie wiedziałem, że macie państwo kota - zdziwiłem się. Dama się uśmiechnęła.

- Bo nie mamy. To jest Debbie.

- Debbie?

- Owszem, ostatecznie tak ją nazwaliśmy. Jest dzika. Zachodzi tu dwa, trzy razy w tygodniu, wtedy ją karmimy. Nie mam pojęcia, gdzie mieszka, podejrzewam jednak, że większość czasu spędza kręcąc się koło jednej z farm leżących przy drodze.

- A nigdy nie odniosła pani wrażenia, że chce u państwa zamieszkać?

- Nie. - Pani Ainsworth potrząsnęła przecząco głową. - To nieśmiałe, drobne stworzonko. PO prostu zakrada się tutaj, zje coś, a potem umyka. Jest w niej coś wzruszającego, ale najwyraźniej nie życzy sobie, abym ja albo ktokolwiek inny wkroczył w jej życie.

147

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

Znowu spojrzałem na małą kotkę.

- Czy dzisiaj nie najadła się już do syta?

- Owszem, tak. Zabawne, ale od czasu do czasu wślizguje się tutaj, do saloniku, i na kilka minut siada przed kominkiem. Przypuszczam, że wtedy pozwala sobie na coś w rodzaju luksusowych wakacji.

- Aha... zdaje się, wiem, co pani ma na myśli.

Nie ulegało wątpliwości, że w zachowaniu stworzonka było coś niezwykłego. Kotka, wyprostowana jak struna, siedziała na grubym dywanie, rozpozartym przed kominkiem, w którym zarzyły się i płonęły węgle. Nie próbowała nawet zwinąć się w kłębek, myć albo robić cokolwiek innego poza spokojnym wpatrywaniem się przed siebie. A w jej zakurzonej, czarnej sierści, w na wpół dzikim wyglądzie było coś, co nasuwało mi pewne wyjaśnienie. To było specjalne wydarzenie w jej życiu, wyjątkowa i cudowna rzecz; pławała się w komforcie, o jakim w codziennej egzystencji

nie mogła nawet pomarzyć.

Kiedy obserwowałem ją, odwróciła się, bezszelestnie wykradła z pokoju i zniknęła.

- To typowe zachowanie Debbie - odezwała się pani Ainsworth. - Nigdy nie zostaje dłużej niż jakieś dziesięć minut, potem ucieka.

Pani Ainsworth była pulchną niewiastą o sympatycznej twarzy, zapewne po czterdziestce, i była taką klientką, jaką lekarz weterynarii może tylko sobie wymarzyć. Zamożna i szczodra, była właścicielką trzech wypieszczonych bassetów. Wystarczyło jedno tylko bardziej posępne spojrzenie któregoś z psiaków, a już byłem pilnie wzywany na wizytę. Tego dnia jeden z bassetów uniósł łapę i kilka razy podrapał się w ucho, a to wystarczyło, by jego straszliwie przerażona pani pospiesznie chwyciła za słuchawkę.

148

BUSTER - BOŻONARODZENIOWY KOCIAK

Tak więc moje wizyty u Ainsworthów były częste, lecz niezbyt kłopotliwe, ja zaś zyskiwałem mnóstwo okazji do obserwowania intrygującej mnie drobnej kotki. Przy którejś okazji ujrzałem ją zgrabnie wylizującą spodeczek przy kuchennych drzwiach. Kiedy przyglądałem się jej, odwróciła się i niemal pofrunęła lekkimi krokami przez korytarz i próg saloniku.

Okupywały go już trzy bassety, wylegające się i pochrapujące na dywanie przed kominkiem, jednakże najwyraźniej były przyzwyczajone do Debbie, gdyż dwa z nich leniwie obwąchały kotkę, a trzeci ledwie zerknął na nią zaspanym okiem.

Debbie usadowiła się między nimi w swej zwykłej pozie - wyprostowana, skupiona, intensywnie wpatrzona w rozżarzone węgle. Tym razem spróbowałem się z nią zaprzyjaźnić. Podszedłem ostrożnie, ale kiedy wyciągnąłem dłoń, odskoczyła. Jednakże cierpliwie wabiąc i przemawiając łagodnym głosem, zdołałem jej dotknąć i delikatnie, jednym palcem pogłaskać po mordce. W pewnej chwili odpowiedziała mi, odchylając na bok łebek i ocierając się o moją dłoń, lecz szybko uznała, że czas już na odwrót. Wybiegłszy z domu, błyskawicznie przemknęła przez drogę, potem wskoczyła w dziurę w żywopłocie. Zobaczyłem jeszcze drobną, czarną sylwetkę mknącą przez mokrą po deszczu trawę pastwiska.

- Ciekawe, gdzie ona idzie - mruknąłem na wpół do siebie. Tuż przy moim boku zmaterializowała się pani Ainsworth.

- Tego nigdy nie zdołaliśmy się dowiedzieć.

149

.
i\Uf
0P

BUSTER - BOŻONARODZENIOWY KOCIAK

Musiały minąć ze trzy miesiące, nim pani Ainsworth ponownie się do mnie odezwała. Prawdę powiedziawszy, zaczynałem już się nieco dziwić, że bassetom nic nie dolega, kiedy w słuchawce odezwał się głos ich właścicielki.

Był bożonarodzeniowy ranek, toteż mówiła przeproszającym tonem:

- Panie Herriot, tak mi przykro, że niepokoję pana akurat w ten jedyny dzień w roku. Doskonale zdaję sobie sprawę, że jak wszyscy pragnie pan w święta odpocząć. - Jednak pod właściwą jej uprzejmością nie potrafiła skryć nuty rozpaczony w głosie.

- Proszę się tym nie kłopotać - odparłem. - Co się stało tym razem?

- Nie chodzi mi o żadnego z psów. To... Debbie.

- Debbie? Jest teraz u pani w domu?

- Tak... ale stało się z nią coś złego. Proszę czym prędzej przyjechać.

Kiedy mijałem rynek, znowu pomyślałem, że Darrowby w dzień świąt Bożego Narodzenia sprawia takie wrażenie, jakby ożyły sceny z opowiadania Dickensa. Pusty plac, na bruku puszysta warstwa śniegu, na krawędziach dachów wiszące sopte. Sklepiki zamknięte, barwne światełka choinkowych lampek migotały przez okna przytulonych do siebie domków, ciepło zapraszając do środka przed

zimnymi białymi zaspami na dworze.

Dom pani Ainsworth był suto udekorowany świecidełkami i ostrokrzewem, na kredensie rzędem stały napoje, a intensywny aromat indyka, nadzianego farszem z szałwii i cebuli, sączył się z kuchni. Jednak gospodyni z oczami przepełnionymi bólem zaprowadziła mnie do saloniku. Tam właśnie była Debbie, lecz tym razem wszystko wyglądało

151

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

inaczej. Nie siedziała wyprostowana jak zwykle. Leżała nieruchomo, wyciągnięta na boku. Zobaczyłem wtulone w nią czarne kocie maleństwo.

Popatrzyłem osłupiały.

- Co się stało?

- Coś dziwnego - tłumaczyła pani Ainsworth. - Nie widziałam jej od kilku tygodni. Zjawiała się mniej więcej przed dwoma godzinami... na chwiejnych nogach zdołała wejść do kuchni, w pyszczku niosła kociaka. Zabrała go do salonu i gdy położyła na dywanie, w pierwszej chwili byłam rozbawiona. Wszakże spostrzegłam, że coś jest niedobrze, bo chociaż usiadła jak zwykle, trwało to

. zbyt długo... ponad godzinę... potem się położyła w ten sposób i już się nie podniosła.

Przykłęknąłem na dywanie, przesunąłem dłonią po szyi i żebrach Debbie. Była jeszcze bardziej wychudzona, miała zmierzwioną i ubłoconą sierść. Nie opierała się, kiedy delikatnie rozwarłem jej pyszczek. Język i błony śluzowe były nienaturalnie blade, palcami wyczułem, że jej wargi są lodowate. Kiedy odsunąłem powiekę i zobaczyłem szkliste oko, wiedziałem, że to już koniec. Z pełną świadomością zbadłem brzuch i to, na co się natknąłem, nie było dla mnie najmniejszym zaskoczeniem, ogarnął mnie tylko ogromny smutek, kiedy wyczułem palcami twardy, nieruchomy guz. Terminalny i beznadziejny. Przyłożyłem stetoskop do serca kota i wsłuchałem się w coraz słabsze, pospieszne tętno, potem wyprostowałem się i usiadłem na dywanie, nic nie widzącym wzrokiem wpatrywałem się w palenisko, czując na twarzy ciepło płomieni.

Głos pani Ainsworth dobiegł mnie jakby z zaświatów. - Czy ona zachorowała, panie Herriot?

152

BUSTER - BOŻONARODZENIOWY KOCIAK

Zawahałem się.

- Tak... obawiam się, że tak. Ma złośliwy nowotwór. - Wstałem. - W tej sprawie jestem całkowicie bezsilny. Przykro mi.

- Och! - Zakryła dłonią usta i spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami. Kiedy się wreszcie odezwała, jej głos drżał: - Cóż, musimy ją zatem natychmiast uśpić. Tylko tyle możemy dla niej uczynić. Nie pozwólmy jej na cierpienia.

- Pani Ainsworth - odezwałem się. - Nie ma takiej potrzeby. Ona już umiera... zapadła w śpiączkę... już nie cierpi.

Szybko odwróciła się ode mnie, stała nieruchomo, za wszelką cenę próbowała się opanować. Po chwili poddała się i osunęła na kolana przy Debbie.

- Och, nieszczęsne maleństwo! - zaczęła płakać, nieustannie gładziła łebek kotki, łzy niepowstrzymanie padały na futerko zwierzątka. - Jak straszne musiała mieć przeżycia. Czuję, że powinnam więcej dla niej zrobić.

Milczałem kilka chwil, współczułem jej. Jakież to kontrast w porównaniu ze świątecznymi stroikami udekorowanego salonu. Wreszcie przemówiłem łagodnym głosem:

- Nikt poza panią nie mógłby więcej uczynić. Nikt nie okazałby więcej serca.

- Jednak gdybym zatrzymała ją tutaj... w dobrych warunkach. Na dworze musiało być okropnie zimno, a ona była tak straszliwie chora... nie mogę nawet o tym myśleć. I urodziła kocięta... nie wiem... zastanawiam się, ile ich było?

Wzdrygnąłem się.

- Przypuszczam, że nigdy już się tego nie dowiemy. Może tylko to jedno. Czasami to się zdarza. I przecież przyniosła je do pani, prawda?

153

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

-Tak... owszem... przyniosła... przyniosła. -Pani Ainsworth sięgnęła po przemoczoną czarną szmatkę. Poglądziła palcem zabłocone futerko, malutki pyszczek otworzył się w bezgłośnym miauknięciu. -Czyż to nie zadziwiające? Umierała, a jednak przyniosła tutaj kociąt-ko. W samo święto Bożego Narodzenia.

Nachyliłem się i przytknąłem dłoń do serca Debbie. Przystało bić.

Podniosłem głowę.

- Obawiam się, że umarła.

Uniosłem drobne ciało Debbie, ważące tyle co piórko, owinąłem je w prześcieradło, rozpostarte na dywanie, i wniosłem do samochodu.

Kiedy wróciłem, pani Ainsworth wciąż głaskała kociaka. Łzy jej na policzkach obeschły, popatrzyła na mnie promiennym wzrokiem.

- Nigdy jeszcze nie miałam kota. Uśmiechnąłem się.

- Wygląda na to, że już go pani ma.

I tak rzeczywiście było. Malec błyskawicznie wyrósł na pięknego, wspaniałego kocura o hardej naturze, co przyniosło mu wojownicze imię Buster. Pod każdym względem różnił się od swojej nieśmiałej, drobnej matki. Nie było mowy, aby prowadził tajemne

154

BUSTER - BOŻONARODZENIOWY KOCIAK

życie na dworze. Niczym król wmaszerowywał na drogic dywany Ainsworthów, a suto zdobiona obróżka, którą zawsze nosił, jeszcze mu dodawała splendoru.

Przychodząc na wizyty, z radością obserwowałem jego rozwój, jednak w pamięć najbardziej wrył mi się dzień świąt Bożego Narodzenia, rok po jego przybyciu.

Jak zwykle byłem na objeździe. Nie potrafię przypomnieć sobie, bym kiedyś nie pracował w dzień Bożego Narodzenia, gdyż zwierzęta nie nauczyły się do tej pory, że jest to święto. Jednakże z upływem lat niejasną niechęć, jaką żywiłem, zastąpiła filozoficzna rezygnacja. Przecież gdy wędrowałem w mroźnym powietrzu po stojących na zboczach wzgórz oborach, zyskiwałem lepszy apetyt na indyka niż cały zastęp tych, którzy wylegiwali się w łózkach lub rozpierali leniwie przed kominkami. Do tego dochodziły jeszcze niezliczone aperitify, którymi częstowali mnie gościnni farmerzy.

Wracałem właśnie do domu w różowym nastroju. Wchłonałem wiele szklaneczek whisky - a raczej porcji, jakie nieuczenni mieszkańcy Yorkshire nalewają tak szczerze, jakby to było piwo imbirowe - a zakończyłem szklanicą rabarbarowego wina u starej pani Earnshaw, i właśnie ono poszło mi w nogi. Mijając dom pani Ainsworth, usłyszałem wołanie:

- Wesołych świąt, panie, Herriot! - wypuszczała właśnie frontowymi drzwiami gościa i pomachała do mnie radośnie. - Proszę wejść i napić się czegoś na rozgrzewkę.

Akurat rozgrzewki nie potrzebowałem, jednak bez wahania zajechałem na krawężnik. Dom, podobnie jak w zeszłym roku, był suto przystrojony, rozchodził się też identyczny, wspaniały zapach

155

szałwii i cebuli, co sprawiło, że zaczęło ssać mnie w żołądku. Jednak tym razem nie panował tu smutek - panoszył się bowiem Eu-ster.

Nastroszywszy uszka, z dzikim wejrzeniem napadał po kolei na wszystkie psy, trącał je łapką i wiał co sił w nogach.

Pani Ainsworth roześmiała się.

- Wie pan, on nie daje im żyć. Nie mają chwili spokoju.

Nie myliła się. W oczach bassetów pojawienie się Bustera przypominało mniej więcej wtargnięcie niegodnego intruza do ekskluzywnego londyńskiego klubu. Całymi latami wiodły uporządkowane, wspaniałe życie - regularne, stateczne przechadzki z panią, znakomite jedzenie w nieograniczonych ilościach i długie drzemki na dywanach i fotelach. Dnie upływały im w niezmaconym spokoju. I wtedy pojawił się Buster.

Znowu obskakiwał najmłodszego z psów, tym razem zachodził bokiem, łebek miał przechylony,

prowokował. Gdy zaczął boksować go dwoma łapkami, tego już było za wiele nawet dla spokoj-

BUSTER - BOŻONARODZENIOWY KOCIAK

nego basseta. Utracił całą swoją godność i zaczął zmagać się z kotem w krótkich zapasach.

- Chcę panu coś pokazać. - Pani Ainsworth wzięła z szafki laną gumową piłeczkę i wyszła do ogródka; za nią pospieszył Buster. Cisnęła piłkę na trawnik, kot zaś skoczył za nią po zamarznętej trawie, pod lśniąca, czarną sierścią widać było, jak grają mięśnie. Chwycił w zęby piłkę, odniósł ją do języczka, puścił u jej stóp i popatrzył wyczekująco. Rzuciła, a on ponownie przyniósł zabawkę. Ze zdumienia nie mogłem złapać tchu.

- Kot, który aportuje!

Bassety przypatrywały się temu pogardliwie. Ich nic nie mo-

157

I

JAMES HERRIOT - KOCIE OPOWIEŚCI

głoby zmusić, by pobiegły za piłką, lecz Buster powtarzał tę sztuczkę bez końca, jak gdyby nigdy nie miał się zmęczyć. Pani Ainsworth zwróciła się do mnie:

- Czy widział pan kiedykolwiek coś takiego?

- Nie - odparłem. - Nigdy. Ten kot jest zupełnie wyjątkowy. Oderwała Bustera od zabawy, wróciliśmy do domu. Przytuliła

go do twarzy, śmiała się, kiedy kot mruczał i ocierał się rozkosznie o jej policzek.

Gdy przyglądałem się kocurkowi, okazowi zdrowia i kwintesencji zadowolenia, myślałem wrócić do jego matki. Czyżby za wiele było sądzić, że to umierające, drobne stworzonko ostatkiem sił przyniosło swoje maleństwo do jedyne go znanego sobie miejsca, w którym zaznawało niebiańskiego spokoju i ciepła, w nadziei, że tu się nim zajmą? Możliwe, że tak było.

Wyglądało jednak na to, że nie ja jeden mam takie podejrzenia. Pani Ainsworth zwróciła się ku mnie z uśmiechem, choć w jej oczach pojawił się cień smutku.

- Debbie byłaby szczęśliwa - stwierdziła. Kiwnąłem potakująco głową.

- Tak, z pewnością... Przyniosła go tutaj dokładnie rok temu, prawda?

- Zgadza się. - Znowu przytuliła Bustera. - To najpiękniejszy prezent gwiazdkowy, jaki kiedykolwiek dostałam.